PIELGRZYM POLSKI

pismo miesięczne

poświęcone nauce, belletrystyce i sprawom bieżącym.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Rocznik I. (Marzec 1899). Zeszyt 2.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

W Austryi kosztuje *Pielgrzym Polski* **na rok: 3** złr.; **na pół roku: 1** złr. **50** ct.; **kwartalnej** przedpłaty **nie** przyjmuje się. — **W Niemczech rocznie: 6** marek; **półrocznie: 3** marki. — **W Ameryce rocznie: 1½** dolara. — W innych krajach **rocznie: 10** franków.

Adres:

Redakcya „Pielgrzyma Polskiego“ w Krakowie, ulica Basztowa L. 4.

Nakładem wydawnictwa „Pielgrzyma polskiego“.

Treść zeszytu 2-go (za marzec 1899).

Zniżenie przedpłaty!

Ze względu na uboższych Czytelników, którzy objawili chęć prenumerowania i popierania *„Pielgrzyma polskiego“*, gdyby to pismo było tańsze, **zniżamy** przedpłatę z **5** złr. na **3** zł. rocznie, czyli, że *Pielgrzym polski* kosztuje odtąd:

na rok 3 złr. (6 mk.) **na pół roku 1** złr. **50** ct. (3 mk.).

Na tak niską przedpłatę może się teraz niejeden zdobyć, i tylko chyba wstręt do popierania uczciwej pracy byłby powodem, że ci, których stać na to, nie chcieliby nas popierać. — A nie chcieć popierać pisma **patryotycznego i katolickiego**, gdy się może, to znaczy być pozbawionym wszelkiego szlachetniejszego poczucia. Takich zaś między naszymi Sz. Adresatami, chyba niema.

WŁOŚCIANIE W POLSCE.

Krótkie studyum historyczne.

Napisał I. P.

(Ciąg dalszy).

Sejm krakowski czyni jeszcze jawniejszem przywłaszczenie: kmieć, schroniwszy się do miasta mógł być schwytanym, a także i syn kmiecia, jeżeli pan na opuszczenie wsi nie dał zezwolenia; groziła bowiem jego zdaniem klęska posiadaczom ziemi, gdyż przez uchodzenie, przenoszenie się do miast, wielu szlachty, nie mając dosyć sług i robotników zaniedbuje koniecznych prac.

Sejm krakowski r. 1532. nakazuje chwytać wszystkich zbiegłych włościan: gdziekolwiekby się znajdowali, schwytani mieli pracować, pókiby właściciel swego włościanina nie odebrał — a to dlatego, że panowie przez złośliwość kmieci pozbawieni sług i robotników nie mogli swych ról uprawiać. Toż stan panujący zaraz tę „złośliwość“ poskramiał skutecznemi ustawami.

Sejm w Bydgoszczy r. 1520 postanowił, że włościanin na zwykłe wezwanie pana bez pośrednictwa władzy sądowej musiał być wydany „bez hałasu prawa“. To samo rozporządzenie obejmuje konstytucya z r. 1581, nosząca rozśmieszający napis: Sprawiedliwość około poddanych.

Konstytucya z r. 1667 o chłopie ziemi kaliskiej, grozi przechowującemu zbiegłego włościanina — wygnaniem, znaczącem u nas dawniej to samo, co wyjęcie z pod prawa! ostateczny wyrok nieodwołalny wydawał sąd grodzki. I jeżeli przechowujący szlachcic, zbiegłego nie wracał, miał moc starosta zwołania pospolitego ruszenia, wypowiedzenia wojny nieposłusznemu.

Konstytucya z r. 1593 o „hultajach“ województwa poznańskiego stanowi: „wolno władzom miejskim, duchownym i szlachcie tych włóczęgów (t. j. kmieci i zagrodników, synów

i córki kmieciów, gdy dobrowolnie opuszczają ziemie) — więzić, uwięzionych zatrzymać, okowawszy ich, i przymuszać do pracy“.

Tę konstytucyą, dopełniającą przywłaszczenie włościan rozszerzono i na inne ziemie, mianowicie na województwa łęczyckie, sieradzkie, płockie, mazowieckie i bełzkie; a zjazd sieradzki rozciągnął jej moc na województwa brzeskie, włódzkie i pruskie, na ziemię dobrzyńską, łęczycką, chełmską i wieluńską.

Skoro tylko przez elekcye (wybieralnych królów) władza majestatu przeszła w ręce szlachty, natychmiast został włościanin wyjęty z pod prawa, a dysydencka konfederacya warszawska z r. 1573 oświadczyła, że nie ubliża żadnej zwierzchności nad poddanymi i tedy, jako zawsze było, będzie wolno i odtąd każdemu panu swego poddanego — nieposłusznego tak w rzeczach religijnych, jak i światowych ukarać według swego rozumienia.

Tą nieuczciwą ustawą nadała sobie szlachta władzę nad włościanami — już nietylko królewską, nietylko samowolną, ale taką, jaką wykonywała inkwizycya religijna!

Od tego czasu przez dwa stulecia głucho już w księgach prawnych o chłopach, bo oni przestali być osobami, a przeszli w liczbę rzeczy i własności. Jeśli kto o nich czasem wspomni, to czyni chyba wniosek: jak ich chwytać, jeżeli od pana uciekną.

Nieszczęśliwy włościanin widząc zamknione dla siebie miasta, znajdując po wsiach jednostajne — powszechne ujarzmienie i gdy umknął przed barbarzyństwem ciemiężyciela, wydawany czasami sądził, że poza granicami znajdzie przyjaźniejsze niebo, chrześcijańskie uczucia, że odetchnie powietrzem wolności.

Szedł przeto za granicę, ku Śląskowi, ku Czechom, wysuwał się na niezmierzone ukraińskie stepy, na dnieprowe Porohy — do Kozaczyzny i tu w końcu znachodził swobodę upragnioną, odsłaniał swą nienawiść względem ciemiężycieli, nasycał czasami zemstę, łamał karki swym ujarzmicielom — panował.

Odpychany, znieważany, nie mogąc nawet zwycięstwami zyskać usamowolnienia, powierzył w końcu siebie chytremu opiekunowi — Moskwie i zginął, ale do tej samej przepaści pociągnął i swoich prześladowców — szlachtę!

Owe uciemiężające ustawy uczyniły swoje. Włościanin, podobny roślinie powstawał, żył, pracował i znikał na jednej i tej samej ziemi. Swojemi myślami, swojem działaniem nie przekraczał nigdy widnokręgu swej niewoli. Wyrwano go gwał-

townie życiu umysłowemu, politycznemu i religijnemu. Nie miał on ojczyzny, nie miał współczucia — współmyślenia, ani przeszłości z drugiemi i złorzeczył dniom swoim. Nie przeczuwał przyszłości; grób tylko uważał za swe ostatnie schronienie, za schronienie swej rodziny przed odradzającymi się uzbrojonymi ciemiężycielami.

Wsie byłyz apełnione niewolnikami, obojętnymi, ożywionymi głuchą zemstą przeciw ujarzmicielom; miasta niemieckie pozbawione były ożywczego napływu wiejskiej ludności, bo bezrozumnemi ustawami urządzono rozdział przemysłu i rolnictwa, zniesiono wolne wspólnictwo miast i wsi, zniweczono wolną pracę milionów jednostek. Te są pierwotne przyczyny zubożenia i wyludnienia miast, zniknienie przemysłu, ubóstwa narodu, wewnętrznej obojętności, a czasem i niechęci, oto źródło naszego ujarzmienia. wytłómaczenie bezsilności naszej walki o usamowolnienie. Oto znaczenie okropne owych wyrazów ludu Rusi za czasów naszej wojny rewolucyjnej. „Polska szlachta jedzie na wojnę!“

Lud nie rozumiał tej wojny, założył ręce i patrzał tylko bezczynnie. Czy miał swych odwiecznych ciemiężycieli bronić? Czy go oni wezwali słowem miłości i wolności?

Stan panujący przykuł włościan do przywłaszczonej sobie ziemi. Włościanin nie miał dzieci, nie był ojcem; jego dzieci przechodziły na własność pana, nie miały wolności. Nieograniczona, zupełna niewola dotykała żyjące i przyszłe pokolenia, żadnej nadziei polepszenia, szczęśliwszej przyszłości! Wieczne, nieprzemienne ujarzmienie, bezwarunkowe odjęcie przyrodzonej, cywilnej i politycznej wolności!

Sejm piotrkowski 1496, stanowi, że tylko jeden syn kmiecy, uzyskawszy zezwolenie pana mógł wieś opuścić. Atoli po ukończeniu nauk, lub rzemiosła musiał jeszcze raz wracać do pana, musiał powtórnie uzyskać zezwolenie, a dopiero wtedy miał wolność pracy i zarobkowania.

Gdy atoli syn kmiecy był jedynakiem, nie mógł nigdy ziemi opuszczać. Gdy uciekł, mógł być schwytanym; wydanie musiało nastąpić bez „hałasu“ prawa.

Stan panujący uchwalił w r. 1503, że syn kmiecy, jeśli chciał, mógł przed 12 rokiem życia uzyskać zezwolenie pana na naukę. W przeciwnym razie, gdy umknął, mógł być schwytany, przykuty dozgonnie do ziemi, utracał prawo dziedziczenia nędznej ruchomości.

Ujarzmienie musiało być skończone, toż urządzono je z wielkim sprytem i przenikliwością ducha.

Włościanin, syn włościanina nie mógł opuszczać ziemi, jeśli nie uzyskał pozwolenia, gdy je uzyskał, skończywszy nauki nie przestawał być niewolnikiem, własnością swojego pana.

Włościanin nie używał opieki prawa: nie mógł pozywać, ani być pozywanym. Jeśli mu co skradziono, jeśli go skrzywdzono, zamordowano, tylko pan pozywał, brał wynagrodzenie za uszkodzenie, za zniweczenie swej rzeczy, swej własności.

Włościanin nie mógł być urzędnikiem, nie piastował ani obywatelskich, ani politycznych godności, nie mógł nosić oręża, nie był panem swej osoby, swej pracy, swej wolności; był nieprzerwanie przywiązany do ziemi, na której odebrał nieszczęsny dar istnienia.

Mógł on być zabitym, więzionym przez pana ziemi, nieodpowiedzialnego za swoje zbrodnie. Był przeto niewolnikiem, oddany niczem nieograniczonej dowolności pana, zupełnie wyłączony ze społeczeństwa.

Kościół katolicki nie odmawiał opieki i chluby uciemiężonemu ludowi. Często na zachodzie i południu Europy niewolnik na wsi, mieszczanin, przyodziany mniszym (zakonnym) habitem, biskupią infułą, kardynalskim kapeluszem, rozkazywał swoim ciemiężycielom, łamał dumę panów, stąpał po karku cesarzów.

Kościół katolicki w wiekach średnich był ożywiony jednem natchnieniem, otwierał najwolniejszy przystęp: zasłudze, nauce, nie odpychał wzniosłego zastosowania chrześcijańskiej miłości i równości, dążył do usamowolnienia wszystkich warstw społecznych.

Lecz nasi ojcowie zniesławili niestety! katolicyzm. Nieszczęśliwy włościanin nie mógł być obywatelem chrześcijańskiej społeczności, członkiem królestwa niebieskiego na ziemi.

I tam wsunął swe ujarzmiające panowanie stan panujący, nie pozwolił on być włościanom synami Chrystusa na ziemi, zniósł równość i świętość chrześcijańskiego społeczeństwa.

Przezorny sejm radomski, przewidując „niezgody i bunty" stąd, że osoby niskiego stanu brały godności duchowne, ogłasza, że godności katedr i kolegiat tylko szlachta może piastować, że jeśliby nieszlachcic uzyskał je podstępnie, traci majątek, ponosi wygnanie.

Nie dosyć na tem. Utrata majątku i wygnanie dosięgnąć ma jeszcze krewnych, opiekunów, pomocników, wszystkich wspólników tej winy.

Ten sam nakaz, te same kary ponowiły sejmy: krakow-

ski 1510, piotrkowski 1538 i 1550, i uzupełniły na koniec najzupełniejsze ujarzmienie włościan, jako ludzi, jako obywateli i jako chrześcijan. Toż słusznie pisze Herburt w 14 stuleciu, że „włościanie są uważani za nic, nie są osobami prawnemi, nie są nawet ludźmi“. (Ciąg dalszy nastąpi).

Ustrój przyszłego państwa socyalno-demokratycznego i jego wady.

Napisał F. G.

(Dokończenie).

Trzeciem głównem zadaniem państwa socyalnego jest wypośrodkowanie ogólnego wyniku zarobku.

Zestawienie bilansu porządnego gospodarstwa jest konieczne, a wiemy jak trudnem jest zestawienie bilansu w wielkiem przedsiębiorstwie, o wieleż trudniejszem będzie zestawienie bilansu w państwie socyalnem, obejmującem wszystkie gałęzie przemysłu.

Bilans zaś zestawić można po pewnym przeciągu czasu, po roku, po kwartale; aż do zamknięcia bilansu wynik gospodarstwa nie jest znany, jakże wobec tego oznaczyć udział współproducenta, który aż do wypośrodkowania ogólnego zysku żyć musi. Naturalnie tu państwo pomagaćby sobie musiało zaliczkami, z przezorności nie suto obliczanemi. Gdyby się bowiem okazało, że ogólny wynik gospodarki na pokrycie zaliczek pobranych nie starczy, kto i w jakiej wysokości pokryłby nadebrane zaliczki? Może o wysokość tę zmniejszonoby udział następnego peryodu?

Są gałęzie przemysłu, które lata całe nie dają dochodu, są wynalazki, których przeprowadzenie pochłania ogromny zasób pracy i materyału, lecz całe ubiegają lata, nim dają realne korzyści. Są przedsiębiorstwa, które zaledwie wydatki własne pokryć są w stanie. Kto więc będzie płacił robotników przy takich nierentujących się przedsiębiorstwach? Dziś płaci ich właściciel przedsiębiorstwa, dopóki mu starczą jego środki; państwo socyalne na takie rzeczy nie może mieć zarezerwowanych kapitałów, a więc robotnicy przy takich nierentujących się

gałęziach pracy musieliby być wynagradzani z zysków, które przynoszą rentujące się gałęzie z krzywdą pracowników przy innych gałęziach produkcyi, którzy już nie byliby stosownie do swej pracy wynagradzani. Jest to złamanie zasady kollektywnego gospodarstwa, gdyż każdy powinien mieć udział w zyskach swej tylko gałęzi produkcyjnej, a nie innej.

Teraz zachodzi pytanie, jakie wynagrodzenie dać tym nieszczęśliwym, których praca nie przynosi dochodu i które przedsiębiorstwa, w jakiej wysokości mają tam partycypować. Państwo na te cele kapitałów składać nie może i nie powinno ze względów zasadniczych, gdyż obalając gospodarkę kapitalistyczną, samoby je napowrót wprowadzało i gromadząc kapitały oszczędzone na wynikach pracy teraźniejszości, składałoby je dla pokolenia przyszłego, co idea socyalna zupełnie wyklucza. Czy więc dla robotników przedsiębiorstw nierentownych — bo im coś trzeba dać — przeznaczyć dniówkę, czy zapłatę akordową, czy wreszcie jałmużnę? Ale te trzy rzeczy nie istnieją w państwie socyalnem, tam jest tylko udział w wartości produkcyi — jakiż oni udział dostaną, skoro ich produkt wartości nie ma?

Zdarza się w życiu praktycznem, że takie nieszczęśliwe przedsiębiorstwo nagle po latach kilku zakwita i daje ogromne zyski. Czyż ci, co przedtem żyli na łasce innych przedsiębiorstw, mają teraz w pełnej mierze korzystać z ogromnych udziałów, jakie im daje ich zajęcie, czy też z tych udziałów mają im być ściągane pobrane od innych przedsiębiorstw w latach ubiegłych zapomogi; komu i w jakiej wysokości zwrócić je należy? Takie pytania nasuwają się mimowoli, a odpowiedź na nie trudna.

W wielkich fabrykach zdarzają się peryody, że ruch produkcyjny ustaje, czy to z powodu większych reperacyj wskutek elementarnego uszkodzenia, czy wskutek zmiany systemu produkcyi, a w takim razie potrzebne są siły fachowe do uskutecznienia potrzebnych adaptacyj. Jakże traktować tych nowych robotników? Do udziału w tej gałęzi, do której fabryka należy, prawa nie mają, chociaż dla niej pracują, udział ich zresztą dopiero po latach z przyszłych zysków fabryki mógłby być obliczony, a tymczasem w jaki sposób praca ich byłaby bonifikowana?

Na te pytania dotąd ze strony socyalnej-demokracyi odpowiedzi niema, a majaczący w umysłach prowodyrów plan sprawiedliwego podziału wspólnego zarobku, jest w rzeczywistości tylko fantazyjnem fata morgana.

Dziwnem się wydawać musi, że wśród mas socyalistycznych nikt sobie trudu nie zadaje nad rozwiązaniem postawionych tu pytań, ale tłómaczy się to tem, że przywódcy na zgromadzeniach ze świadomością nie poruszają tych drażliwych zagadnień. Zresztą człowiek zawsze wierzy w to, do czego dąży, a obraz łudzący przyszłego eldorado socyalnego biorą masy z porównania z dobrze urządzoną fabryką, dającą właścicielowi znaczne zyski, przyczem przeceniając własną pracę, współudział właściciela, jego energię, zdolności administracyjne, spryt w wyzyskaniu konjunktur handlowych i kapitał oceniają za nisko. O niekorzystnych warunkach nic wiedzieć natomiast nie chcą, tak samo jak nie dostrzegają sprzeczności życia praktycznego z teoryą.

Dzisiejsze spółki przemysłowe i akcyjne nie mogą być dowodem powodzenia kollektywnego gospodarstwa, choćby tylko z tego powodu, że spółki są nieograniczonym właścicielem swego procederu i nie obliczają swoich udziałów w zyskach na podstawie osobistej pilności, lecz na podstawie złożonego do spółki kapitału, i że partycypują tak w zyskach jak i stratach przedsiębiorstwa.

Przypuśćmy jednak, że wszystkie te trudności dałyby się usunąć i sprawiedliwy rozdział udziałów pomiędzy współproducentów i urzędników dałby się przeprowadzić, to nastręcza się znowu trudność, a mianowicie, że armia urzędnicza musiałaby być nieproporcyonalnie wielką, a nadto do swego olbrzymiego zadania uzdolniona odpowiednio.

Przypatrzmy się zakresowi działania urzędników. Oprócz tych gałęzi administracyi, które dziś w państwie widzimy, a które wymagają już całej armii urzędniczej, przybywa w państwie socyalistycznem znacznie większa liczba urzędników, których wymaga socyalna organizacya środków produkcyjnych z dzialalnością wnikającą w życie każdego obywatela począwszy od dzieciństwa.

Dziś już skarżymy się na całą powódź nowych coraz praw i rozporządzeń. Ileżby takich rozporządzeń, ustaw, przepisów i t. p. musiało powstać w państwie socyalnem dla tylu najróżnorodniejszych gałęzi produkcyi, dla obliczenia zysku, udziału.

Urzędnik, chcący jak należy wywiązać się z tego zadania, musiałby naturalnie znać te wszystkie przepisy. Studyum prawa w państwie przyszłości byłoby nadzwyczaj utrudnione, a szczególnie los kierowników nawy państwowej, np. ministrów zmuszonych rozstrzygać zażalenia, wnioski do zmian obowią-

zujących urządzeń, odpowiadać na interpelacye naturalnie na podstawie istniejących setek tysięcy paragrafów. Los takiego dygnitarza byłby wcale nie do pozazdroszczenia.

Przedstawmy sobie nadto, jakiej bezwzględnej sprawiedliwości wymagać trzeba będzie od urzędników państwa socyalnego, szczególnie przy szacowaniu pracy i wymiarze udziału, a gdzie rękojmia tej sprawiedliwości? Przykazania Dekalogu pójdą w zapomnienie, a jakiemi przykazaniami natomiast zwiąże państwo socyalne swoich obywateli, zaszczepi w nich zasady uczciwości i namiętności okiełza? Ludzkie prawa mniejszą mają powagę od Boskich.

Dla urzędników państw dzisiejszych istnieją zakłady naukowe, dające im stosowne fachowe wykształcenie, tak samo dla każdego zawodu istnieją specyalne zakłady i kursa, które umożliwiają przyswojenie sobie wykształcenia w obranym zawodzie.

Według głoszonych zasad na zgromadzeniach socyalnych demokratów, wszystkie dzieci przyszłości musiałyby jednakie pobierać nauki, tak chłopcy jak dziewczęta. Ponieważ jednak część tylko uczącej się młodzieży przeznaczonąby była do objęcia funkcyj urzędniczych, reszta zaś przeznaczona do zawodów praktycznych, przeto cała ta część w razie obowiązującego dla wszystkich wyższego wykształcenia, straciłaby na niepotrzebnych jej w przyszłym zawodzie studyach lat kilka i dopiero w wieku lat 20 lub więcej, musiałaby zmuszona uczyć się np. szewstwa, kowalstwa, pracy na roli i t. p. Czy jednak z chęcią, czy z pożytkiem dla dobra ogółu i dla odnośnej produkcyi — to wielka kwestya, tem więcej, że przy nauce szkolnej fizyczne siły nie wyrabiają się odpowiednio do zawodu praktycznego i trudniej z 20-letniego terminatora wykształcić tęgiego w zawodzie pracownika, jak z malca, który np. od 14 roku w pewnym pracuje zawodzie.

W przeciwnym razie, t. j. gdyby obowiązującym był typ szkoły niższego poziomu, skąd wziąć materyału na milionową armię urzędników, która przecież potrzebuje koniecznie odpowiedniego naukowego i fachowego wykształcenia. Może jednak państwo socyalistyczne wbrew zasadzie równości ustanowi dwa typy szkół; jeden dla ogółu pracowników, drugi wyższy dla przyszłych urzędników i postanowi, że ci, którzy w szkole niższej wybitniejszemi zdolnościami się odznaczą, przechodzą do szkoły wyższej i ci będą przyszłymi urzędnikami; to pominąwszy już okoliczność, że nie zawsze trafnie ocenić się da talent trzynastoletniego chłopca, toorya taka doprowadzi najpierw do

arystokracyi naukowej, następnie do dziedzicznej arystokracyi urzędniczej, bo ojciec urzędnik starać się będzie wszelkiemi siłami, by syn jego również po tej samej szedł drodze, jako lżejszej może i intratniejszej od losu towarzysza współproducenta. A przecież to tak wprost przeciwne zasadom socyalno-demokratycznym!

Czy urzędnicy państwa socyalnego będą mieli odpowiednią powagę, tak potrzebną do skutecznego rządzenia? Samym przymusem, samemi karami rządzić trudno. Powaga dzisiejszych urzędników tak dla publiczności, jak i dla podwładnych urzędników płynie z uznania wyższości naukowej, z rutyny fachowej tychże, do czego także wiele dodaje wyższe urodzenie. W państwie socyalnem, gdzie wszystko do jednego poziomu będzie zniwelowane, czem wywalczy sobie wyższy nawet urzędnik tę powagę? Każdy towarzysz uważać się będzie za zupełnie mu równego, a w poczuciu tej równości będzie lekceważył jego zarządzenia.

Im więcej państwo socyalne potrzebować będzie tęgich, fachowych, uczciwych, sprawiedliwych i posiadających należytą powagę urzędników, tem mniej z biegiem lat będzie ich posiadać, a za tem nastąpić musi rozluźnienie całej maszyny i jej ostateczna stagnacya.

Zastanówmy się dalej, jak się wiążą stosunki produkcyjne w socyalno-demokratycznem społeczeństwie. Po przejściu na rzecz państwa wszystkich produkcyjnych procederów powinna ustać wszelka walka konkurencyjna. W jaki jednak sposób dojść do tego celu?

Przedstawmy rzecz na przykładzie. W pewnej miejscowości znajduje się 10 przędzalni. Jeżeli każda z tych przędzalni tworzyć będzie osobne przedsiębiorstwo, które swoimi dochodami obdziela własnych tylko pracowników, to powrócą dzisiejsze stosunki i konkurencya zakwitnie na nowo. Od zdolności i energii kierownictwa, od pilności i zręczności robotników zależeć będzie powodzenie i rozkwit interesu i większe zyski z produkcyi, podczas gdy druga fabryka zysków żadnych nie da. Robotnicy więc jednej branży, w jednej miejscowości, będą nierówno uposażeni; jedni mogą opływać w dostatki, inni cierpieć nędzę. Aby temu zapobiedz, trzeba będzie wszystkie przedsiębiorstwa jednej gałęzi produkcyjnej, znajdujące się w pewnej miejscowości uważać za jedno przedsiębiorstwo, sumę zysków obliczyć i na tej podstawie wymierzać współproducentom udziały.

W ten sposób i dla tych samych powodów powstanie

konkurencya pomiędzy jednoimiennemi fabrykami, rozrzuconemi w całem państwie. A więc należy jednogatunkowe przedsiębiorstwa całego państwa uważać za jedno przedsiębiorstwo i z ogólnych dochodów wymierzać sprawiedliwe udziały. Co za straszna praca! Ale i na tem nie koniec. Fabryki np. żelaza stoją dobrze i dają swoim pracownikom wystarczające udziały; natomiast fabryki innych gałęzi nie prosperują i nie dają robotnikom dostatecznego utrzymania. Co wtenczas? Czy kwitnące przedsiębiorstwa mają świadczyć na rzecz nierentujących? Ale na jakiej podstawie, w jakiej wysokości, za zwrotem, czy bezzwrotnie? Czy może państwo ma wkroczyć z pomocą? Ale państwo kapitału nie posiada i posiadać nie powinno.

Jedno więc tylko wyjście, a mianowicie wynik gospodarki wszystkich gałęzi produkcyjnych całego państwa zebrać w skarbie państwa; z ogólnej sumy uzyskanych dochodów potrącić, co potrzeba na kierownictwo państwa, na urzędników, na rezerwy potrzebne dla utrzymania środków komunikacyjnych, budowli i t. p., a pozostałą resztę dopiero rozdzielić sprawiedliwie pomiędzy miliony współproducentów całego państwa, w miarę wydatności ich pracy. Co za straszne zadanie, co za ogrom ich pracy — poprostu niemożebność!

Brak zupełny kapitału w państwie socyalistycznem wnet zemściłby się na samem państwie. Przeciw kapitałowi i kapitalistom zwracają dziś socyaliści głównie swoje gromy, po części słusznie; jednak zapoznawać dobroczynnej działalności kapitału w życiu społeczeństwa nie można. Cóż jest głównym motorem ducha wynalazczego, jeżeli nie kapitał? Czy bez kapitału możebneby były wielkie wynalazki w dziedzinie pary, elektryczności? Jeżeli z jednej strony kapitał lichwiarski rujnuje wyzyskiem, to znowu ten sam kapitał w kasach oszczędności, bankach i t. p. ratuje położenie ekonomiczne. Usunięcie kapitału zupełne, byłoby niedźwiedzią usługą dla całego społeczeństwa.

Szary tłum socyalistów sądzi powszechnie, mimo że przywódcy sprawę już dość jasno postawili, że udziały pojedynczych współproducentów wypłacane będą w brzęczącej monecie, tak jak dziś zarobki tygodniowe, że tych udziałów będzie każdy mógł, według swego widzimisię, użyć na własne potrzeby, że wreszcie będzie mógł z nich robić oszczędności. Ale sprawa w oświetleniu przywódców inaczej się przedstawia. Pieniądz będzie zupełnie zniesiony, bo pozostawiając pieniądz, otwarłoby się na oścież bramę powrotowi kapitalizmu, wyzy-

skowi jednych przez drugich i sprowadziłoby na nowo materyalną nierówność. Przedstawmy sobie to na przykładzie. Robotnik, przepraszam, współproducent zarabia dziennie 2 złr., które mu w gotówce bywają wypłacane. Na swoje potrzeby wydaje tylko 1 złr., pozostaje mu dziennie 1 złr., co na rok robi 365 złr., po dziesięciu latach 3650 złr.; inny natomiast robotnik, pobierający taki sam udział, wyda na swoje potrzeby wszystko, czasem nawet mu zabraknie podczas choroby lub z innego powodu. Pójdzie może do towarzysza mającego pieniądze z prośbą o pomoc. Czy ją otrzyma bezinteresownie — pytanie? Jeżeli ten zażąda procentu, jest już wyzysk, jest bogacenie się jednego kosztem drugiego, jest zależność, jest gospodarstwo kapitalistyczne. A więc precz z pieniądzem!

Udziały obywateli państwa socyalistycznego nie w pieniądzach, ale artykułach potrzebnych do życia będą rozdzielane. Sposób ten wprawdzie wyklucza powrót panowania kapitału, ale równocześnie zmniejszy zadowolenie jednostki z pracy zawodowej, osłabi jego energię, zabije talent, bo pozbawi go tego, co jest nagrodą pracy, wolnego rozporządzania swoim zarobkiem, uprzyjemnienia sobie życia w sposób dowolny. Może to jednak nie prawda. Wszak według głoszonych teoryj, państwo socyalistyczne ma zaspokajać wszystkie potrzeby i życzenia swych obywateli. Brzmi to bardzo ładnie i zachęcająco, ale przypomina nam bajkę słyszaną w dzieciństwie o kraju, gdzie pieczone gołąbki rosną na drzewach, gdzie rzeki płyną mlekiem, winem, piwem i t. p.

Rozliczne są potrzeby człowieka, chcąc więc potrzeby te zadowolnić, należałoby każdą miejscowość, gdzie ludzie żyją, a więc tak wielkie miasto jak i małą osadę wiejską zaopatrzyć w magazyny państwowe, posiadające na składzie wszystkie artykuły potrzebne do życia i wygody mieszkańców. Magazyny wydawałyby na żądanie obywatelom potrzebne artykuły, a do tego musiałyby być wyznaczone pewne dni. Powstałaby stąd niewygoda, w takim dniu wydawania musiałby w magazynie zapanować ścisk niesłychany.

Zresztą co to musiałby być za magazyn, któryby mieścił w sobie wszystko, czego w ogóle człowiek zapotrzebować może.

Byłoby pewnem ułatwieniem, nawet koniecznością, aby każdy konsument naprzód zgłosił, czego mu potrzeba. Wieleby to trzeba pisaniny, by zanotować zgłoszone potrzeby setek klientów, jakiej korespondencyi dla sprowadzenia zapotrzebowanych artykułów, jakich kosztów sprowadzenia, a ilu urzę-

dników! Chcąc uprościć proceder wydawania, musiałoby państwo i tu wkroczyć ze swoją powagą i ograniczyć potrzeby, a właściwie zachcianki swych obywateli, zwłaszcza w artykułach zbytkownych. W każdym razie dzień wydawania z magazynu byłby dla zawiadowców dniem strasznym, wywołałby całą masę pomyłek, niezadowolenie. Jakiż to kontrast z dzisiejszym dniem wypłaty, gdzie wszystko załatwia się spokojnie i w krótkim czasie.

Niełatwiejszem byłoby dostarczenie mieszkania; wolny wybór byłby i tu wykluczony, a przeznaczenie mieszkania byłoby czynnością urzędników, którzy stosownie do zatrudnienia, do miejsca pracy, wyznaczaliby pojedynczym obywatelom mieszkania, których wartość naturalnie w przypadającym udziale musiałaby być zarachowaną. Nie da się zaprzeczyć, że byłoby i tu setki niezadowolonych Ten, któremu przypadło w udziale mieszkanie na wsi, zazdrościłby mieszkańcowi miasta, dającego szersze pole do uprzyjemnienia sobie życia.

Niezadowolenie rosłoby tem bardziej, że raz wyznaczone mieszkanie zmienioneby być nia mogło, a przeświadczenie to zbrzydziłoby i uczyniłoky więzieniem prawie ten kącik, przeznaczony na odpoczynek i wytchnienie.

Niezadowolenie rosłoby tem bardziej, że raz wyznaczone mieszkanie zmienioneby być nie mogło, a przeświadczenie to zbrzydziłoby i uczyniłoby więzieniem prawie ten kącik, przeznaczony na odpoczynek i wytchnienie.

Wspomnieliśmy, że wszechpotężne państwo socyalistyczne musiałoby ograniczyć wolny wybór artykułów. Przypuśćmy bowiem, że jakiś towarzysz, pijak, bo nie sądzimy, aby w państwie socyalistycznem byli ludzie bez namiętności — zażądał zamiast środków żywności na oznaczony termin, zamiast potrzebnego mu na zimę ciepłego ubrania, wódki, piwa i wina w nieproporcyonalnej ilości, czyby na to państwo pozwoliło? Bezwarunkowo nie, bo taki pijanica nie byłby po użyciu otrzymanego quantum alkoholu zdolny do pracy, nie odżywiając się należycie straciłby potrzebne siły. Musiałoby państwo oznaczyć, że w pierwszym rzędzie na rachunek udziału należy wydawać artykuły żywności w odpowiedniej ilości, ubranie, obuwie, a dopiero, o ile udział ten pozwala, artykuły wygody i zbytku. Nowe więc ograniczenie indywidualnej wolności. Systemizowanie pewnych dni na wydawanie z magazynów np. raz na tydzień, również jest niedogodne. Przedmioty jak: chleb, mięso, mleko ulegają zepsuciu, więc przy takim systemie obywatele państwa socyalnego musieliby w końcu tygodnia jeść spleśniały chleb

i śmierdzące mięso, a wątpimy, czyby im to smakowało. Wydawanie więc tych artykułów codziennie jest koniecznością, przedstawia jednak ogromne trudności w wydawaniu samem, stratę czasu i pociąga za sobą ogromnie skomplikowaną rachunkowość.

Lecz nastręcza się jeszcze jedna trudność. Może się ktoś znaleść zdala od wyznaczonego mu magazynu, a jest głodny lub spragniony. Wstępuje więc do najbliższego magazynu i żąda wydania potrzebnych mu artykułów; odmówić mu nie można, więc mu dają, co potrzeba; naturalnie zawiadomić o tem należy przynależny magazyn celem zanotowania wypadku. A jeżeli udział jego już wyczerpany, kto zwróci tę nadwyżkę? By temu zapobiedz, musiałyby być o wysokości udziału wszystkich obywateli zawiadamiane wszystkie magazyny przynajmniej w jednej miejscowości. Coby to zaś pracy, pisaniny, rachunków kosztowało, jakąby należało urządzić kontrolę, to chyba zbytecznie mówić.

Przywódcy socyalistyczni wspominają wprawdzie o certyfikatach pracy, któreby nadużyciom zapobiegały i kontrolę ułatwiały. Taki certyfikat zawierałby wysokość udziału w artykułach, przypadających właścicielowi, a każdy magazyn notowałby na certyfikacie wydane artykuły; umożliwiłoby to również w zaopatrywanie się w potrzeby życia o każdej porze, niekoniecznie zaś w dniach obrachunku lub wydawania — natomiast zwiększyłoby nadmiernie pracę biurową; miliony certyfikatów poszłoby w kurs, miliony przeprowadzeń rachunkowych trzebaby uskuteczniać, a gdzie rękojmia przed fałszerstwem? Certyfikaty te jednak czyli asygnaty na produkta spożywcze będą niczem innem, jak tylko papierami wartościowymi, niejako państwowemi konsolami, czy zapisami długu państwa.

Znosząc jednak kapitał, pieniądze, wyklucza socyalna demokracya tem samem wszelkie papiery wartościowe — a przez zaprowadzenie certyfikatów pracy z asygnacyą udziału w produktach zaprowadza sama nowy typ papierów państwowych, z tą tylko różnicą, że nie opiewają one na pieniądze, lecz na artykuły spożywcze. Przeszkodzić obiegowi tych papierów nowych nie będzie można i znowu stać się może, że jaki towarzysz potrafi zgromadzić w swem ręku znaczniejszą liczbę tych papierów i stanie się kapitalistą.

Ponieważ jednak papiery te nie opiewają na pieniądze, obieg ich będzie więcej utrudniony. Słowem, w żaden sposób nie może państwo socyalistyczne przeszkodzić powrotowi kapitalizmu, gdyż w tym murze ochronnym, otaczającym państwo

przyszłości, znajdzie on zawsze wyłom, którym wtargnie, a sprzymierzeńców znajdzie w armii socyalistycznej, w towarzyszach, pełno

Zresztą zupełne zniesienie pieniędzy, wyrzucenie ich z obiegu sprowadziłoby w zarządzie państwa socyalistycznego olbrzymią niedogodność. Dziś na całym świecie pieniądz jest miarą wartości. Coby zaś miarą wartości było w państwie socyalistycznem? W jaki sposób sporządzanoby bilans państwowy! W jaki sposób obliczałoby się koszta produkcyi i wartość wyprodukowanych przedmiotów i czysty zysk z produkcyi? Coby tu służyło za miarę wartości, jeżeli pieniądz zniesiony?

Na to usłyszymy odpowiedź przewódców socyalistycznych, że miarą wartości w przyszłem państwie będzie dzień roboczy. W praktyce jednak zastosować dzień roboczy jako jednostkę wartościową — chyba bardzo trudno.

Bierzmy przykład. Dziś mówimy, że fabryka przyniosła zysku 200.000 złr., w państwie socyalnym zysk ten wyrazi 100.000 dni roboczych, ktory ma być rozdzielony pomiędzy 300 towarzyszy.

Jaki jednak dzień roboczy ma być wzięty za miarę, skoro dni różną mają wartość? Następnie trzebaby obliczyć wartość każdego przedmiotu na dnie robocze i tak np. wartość funta chleba = $^1/_{10}$ dnia roboczego, pary butów = 2 dni roboczych i t. d. Dziś przy systemie pieniężnym wartość przedmiotów łatwo oznaczyć — przy systemie dnia roboczego o wiele trudniej.

Przedstawmy sobie teraz kolosalne obrachunki dla milionów towarzyszy, pobierających artykuły wyrażone w wartości ułamków dnia roboczego; przedstawmy sobie kontrolę, jakaby istnieć musiała, aby kto więcej nie otrzymał jak mu się należy, przedstawmy sobie wreszcie potrzebę coraz to nowego szacowania artykułów, które przecie wartość swą zmieniają — a przekonamy się, że powstanie tu tylko chaos, zamieszanie, z którego nikt wybrnąć nie potrafi.

Jeżeli jednak — co nieprawdopodobne — państwo socyalne rozwiąże szczęśliwie kwestyę usunięcia pieniędzy w stosunkach wewnętrznych, to w jaki sposób uregulują się stosunki z zagranicą? Przecie z zagranicy sprowadzać musi państwo potrzebne dla konsumcyi produkta, a nawzajem za granicę wywozić nadmiar swych artykułów. Czyżby miano powrócić napowrót do handlu zamiennego, praktykowanego jedynie w stosunkach handlowych z najdzikszemi plemionami Afryki? Zresztą ruch pocztowy musiałby być koniecznie z zagranicą

utrzymywany, więc potrzebną byłaby marka, a marka to pieniądz.

Ludność nadgraniczna bezwarunkowo wchodziłaby w stosunki z ludnością państwa ościennego, niesocyalistycznego, posiadającego system pieniężny.

Niechby więc kontrola była najdokładniejsza, zakazy najsurowsze, nicby to nie przeszkodziło, żeby obywatele państwa socyalnego przedmiotów jako udział otrzymywanych na razie zbędnych nie sprzedawali za pieniądze zagranicznym sąsiadom. W ten sposób pieniądz wtargnąłby napowrót do państwa, z pasu granicznego dostałby się w środek kraju i powoli objął swe panowanie.

Jedynym sposobem zapobieżenia temu byłoby zniesienie pieniędzy i w ościennych państwach — a cóż, jeżeliby się na to nie zgodziły? Chyba wojna! Ale tu także słaba strona państwa socyalistycznego. Państwo socyalistyczne znosi armię stałą, a w danym razie powołuje pospolite ruszenie. Wypowiedzenie wojny zależy od ludu, nie od kierownictwa. Gdyby więc na wojnę państwa soc. z ościennem mocarstwem się zaniosło, to rezultat łatwy do przewidzenia. Zanim zgromadzenia ludowe uchwaliłyby wojnę, nieprzyjaciel stałby już uzbrojony na granicy, zanimby wydano rozkazy do zbierania pospolitego ruszenia, armia nieprzyjacielska zajęłaby już znaczną część państwa, a zebrane oddziały pospolitego ruszenia bez wprawy, lub mało wprawne w rzemiośle wojskowem, bez fachowych wodzów, choćby nawet liczne, co znaczą wobec armii wyćwiczonej, dowodzonej przez generałów i oficerów fachowo wykształconych?

O sztuce, poezyi, o filozofii, w ogóle o wyższych umiejętnościach mowy w państwie socyalnem nie ma. Dla malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, dla poetów, filozofów, historyków i t. p. wybrańców geniuszu z nastaniem państwa socyalistycznego ostatnia wybije godzina, bo gdzież może być mowa o ideale w społeczeństwie, które tylko życie ziemskie i jego uciechy ma na celu.

Porzućmy jednak te krainy ideału i przejdźmy na pole realniejsze i zapytajmy się, jak urządzi państwo socyalne zakłady miłosierdzia, szpitale, przytułki dla kalek i starców?

Starców do pracy niezdolnych, kalek, epileptyków dość zawsze w każdem społeczeńtwie. Kto ich ma utrzymywać? Na stare lata przy skreślonym systemie nikt nic nie oszczędzi i musi spaść w starości ciężarem dla społeczeństwa. O indywidualnem miłosierdziu w państwie soc. mowy być nie może;

religia bowiem zniesiona, a w religii jedynie miłosierdzie czerpie swe źródło; wychowane w socyaliźmie pokolenie, które nie słyszało już nauki miłości bliźniego, które nie słyszało: „Błogosławieni miłosierni“ — a wzrosłe w materyaliźmie, będzie wolało brać jak dawać. Nie przeczę, że państwo musi się postarać o przytułki dla chorych, kalek i niezdolnych do pracy i środki utrzymania obmyśleć im musi. Jedynym sposobem będzie tu okrawanie udziałów towarzyszy na rzecz przytułków. Lecz nie do pozazdroszczenia będzie los prebendaryuszy w tych państwowych zakładach, uważanych za ciężar społeczeństwa, niepotrzebnie zjadających owoce pracy zdrowych obywateli. Najstraszniejsza to będzie jałmużna rzucana biedakom przez społeczeństwo zimno, z pogardą, a pewnie skąpo.

O zakładach, będących wynikiem filantropii prawdziwych serc chrześcijańskizh, jak np. Lubomirskich i Helclów w Krakowie, jak Skarbków i Bilińskich we Lwowie, w państwie soc. mowy być nie może. I sądzimy, że z czasem w państwie socyalistycznem mogłoby przyjść do tego, że na wzór niektórych ludów starożytnych zabijanoby noworodki nierokujące fizycznego rozwoju i kaleki.

Również kuleć będzie w socyalnej republice wymiar sprawiedliwości. Bo z wprowadzeniem rządów socyalistycznych nie pozbędą się ludzie namiętności, a dopóki ludzie będą pod wpływem namiętności, tak długo nie zniknie zbrodnia, tak długo będzie miało społeczeństwo do walczenia ze złodziejami, mordercami, podpalaczami itd. Nie przesadzimy może, twierdząc, że socyalistyczne państwo, bez religii, bez powagi Boskich przykazań, bez wiary w życie przyszłe, daleko więcej liczyć będzie zbrodniarzy, niż dzisiejsze społeczeństwo, bo braknie mu moralnego hamulca, który daje wiara i religia.

Czyż może ustawy państwowe więcej będą miały powagi, niż Boskie prawa Dekalogu? Jeżeli więc będą zbrodniarze, będą i sądy. Winny dobrowolnie się nie przyzna do zbrodni; stwierdzenie winy zależy od zeznań świadków. Jak niechętnie ludzie stawają przed kratkami w charakterze świadków, przytaczać zbytecznie, jak z obawy zemsty lub innych powodów zeznają fałszywie, przykłady pouczają.

Dzisiejsze sądownictwo ma przysięgę, która zmusza do zeznania prawdy — przysięgę, która jest aktem religijnym, gruntującym się na wierze, a mającym nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Sądownictwo państwa socyalnego będzie tego środka pozbawione, bo tam nie będzie wiary, nie będzie religii, a więc i przysięga miejsca tam mieć nie będzie.

Zajmowaliśmy się dotąd stosunkiem jednostki do państwa socyalnego, przejdźmy teraz na jedno z najważniejszych pól życia społecznego, na życie rodzinne.

Według teoryj przywódców, święty, nierozerwalny związek małżeński, wiążący mężczyznę z kobietą do śmierci, jest tylko niegodnym przymusem, nienaturalnem ograniczeniem wolności i hamulcem w pełnem używaniu życia; jeżeli więc dzisiaj teorya tak wygląda, o ileż smutniej ukształtuje się w praktyce? Kościoła, któryby pobłogosławił związek między mężczyzną a kobietą nie będzie — będzie tylko państwo, które, nie krępując woli „ludzi wolnych", pozwoli jednostkom różnej płci łączyć się z sobą i rozłączać według upodobania. A więc gdy szał zmysłowy minie, przy pierwszej lepszej sprzeczce opuści mężczyzna kobietę, kobieta mężczyznę, szukając nowych związków, równie trwałych jak pierwsze. Gdzie zaś niema małżeństwa, tam niema życia rodzinnego. Kilkotygodniowe pożycie mężczyzny i kobiety, przy obopólnej wolności porzucenia się wzajemnego, wyklucza zupełnie pojęcie życia rodzinnego. Gdzież będzie przytułek dla dzieci, jak skonstatować kto ich ojcem? I owszem, zmateryalizowany nawskróś mężczyzna, który w kobiecie będzie widział jedynie narzędzie zaspokojenia swej chuci, wyprze się ojcowstwa i cały ciężar wyżywienia dziecka zostawi kobiecie, która ze swej strony — by pozbyć się tego ciężaru niemowlę porzuci.

Pominąwszy potworność takich stosunków, które koniecznie w społeczeństwie bez Boga, bez wiary, bez żadnego moralnego hamulca wytworzyć się muszą, nie możemy pominąć tej okoliczności, że w ten sposób państwo socyalne wyludniać się będzie i zabraknie mu z czasem materyału roboczego dla jego zakładów produkcyjnych.

Z powodu ekonomicznych trudności w republice socyalnej małżeństwa nawet nie mogłyby istnieć. Małżeństwa w państwie soc., mając utrzymanie tylko w udziale przypadającym za dnie pracy, bez względu czy bezdzietne, czy liczną obarczone rodziną, miałyby równe dochody, które pierwszemu wystarczałaby najzupełniej, drugie skazywałyby na niedostatek. Zarobek uboczny, posiadanie realności itp. całkiem bowiem wykluczone będą.

Chcąc utrzymać rodzinę obarczoną dziećmi, musiałoby państwo takim rodzinom dawać pewne dodatki, naturalnie z krzywdą i uszczerbkiem dla nieżonatych, dla niemających dzieci, coby wywołać musiało szemranie i niezadowolenie — nie

mówiąc nic o rachunkach, które, jak widzimy, każda podniesiona kwestya utrudnia i komplikuje.

Jedynem rozwiązaniem tej kwestyi byłoby wprowadzenie w życie teoryi Francuza Fouriera, według której dzieci, niepotrzebujące już piersi matki, umieszczanoby w państwowych zakładach wychowawczych, co przyjmują wszyscy teoretycy socyalni.

Ale konsekwencyą tego systemu byłoby zniszczenie zupełye stosunku między dzieckiem a rodzicami, zupełne zniesienie rodziny i życia rodzinnego, dającego ludziom najczystsze rozkosze, pobudzającego serca do najwyższych poświęceń i najszlachetniejszych porywów. Wychowane w publicznych dzieciarniach dziecko nie będzie znało ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata, a nawzajem ojciec i matka nie pozna swego dziecięcia w tłumie publicznych wychowanków. Czy pozbawienie tego stosunku serdecznego, tych najprymitywniejszych uczuć wyjdzie społeczeństwu na dobre — wątpimy.

Od dawna przyjęto za pewnik, że rodzina jest podstawą państwa, jest podstawą społeczeństwa. Z życia rodzinnego wytworzyły się organizacye państwowe, nawet u ludów mniej cywilizowanych, z uczucia miłości rodzinnej zrodziła się miłość Ojczyzny i posłuszeństwo dla państwa, bo ono obejmuje wszystko, co nam drogie. Ale bez miłości, samym przymusem i martwą literą ustawy, skleić się nie da na długo społeczeństwo.

Państwo, pozbawione głównej swej podstawy małżeństwa i rodziny, choćby przyszło do skutku, rozpaść się musi.

Skreśliwszy w krótkości urządzenia państwa socyalistycznego na polach życia społecznego, dochodzimy do konkluzyi, że w razie zwycięstwa idei socyalnej-demokracyi i wprowadzenia w życie państwa socyalistycznego, państwo to się nie ostoi i ostać się nie może.

Nie da bowiem obiecanej większej wolności, przeciwnie ograniczy zupełnie wolność jednostki, spowijając człowieka w więzy niewoli od kolebki aż do grobu, niewoli gorszej od znanej kiedykolwiek w dziejach ludzkości — nie zapewni ludziom sprawiedliwego i lepszego korzystania z owoców pracy, przyciwnie zniszczy zadowolenie zawodowe, ubezwładni ducha przedsiębiorczego i wynalazczego i podkopie dobrobyt społeczny; nie zwiększy sumy uciech życia, przeciwnie zrodzi nudę i niezadowolenie, stwarzając monotonne jednostajne warunki życia, nie stworzy rozumnego ładu społecznego, przeciwnie pogrzebie wszelki ład powoli, zabije cywilizacyę, mozolnie przez ducha

ludzkiego przez wieki stworzoną — a na zewnątrz przedstawi się bezradnym, pozbawionym siły i odporności organizmem, czyli, że takie państwo upaść samo przez się musi.

Wpływ nauk klasycznych

na religię, rodzinę i społeczeństwo.

(Dokończenie).

Porzućmy szkoły i zapuśćmy badawczy wzrok w społeczeństwo! I gdzież w niem dzisiaj napotykamy chrześcijańskiego ducha ofiarności i poświęcenia? Gdzie widzimy pogardzanie z zasady bogactwami, zaszczytami i przyjemnościami? W jakim to czasie panowały trzy walne żądze z większym despotyzmem i rozpowszechnieniem nad światem? Czyliż pieniądze nie są bożyszczem naszego czasu? Czyliż przyjemności nie są jedynym rajem, do którego ludzie zdążają? Czyli pogański dogmat szczęścia doczesnego i szczęścia przez bogactwo nie stał się podstawą dzikich teoryj, które obecnie doznają przerażającego poparcia? I o czemże tutaj jeszcze mówić? Czyli dzisiejszy świat nie obfituje w mowców, mężów, uczonych we wszystkich umiejętnościach, rozprawiających za przykładem swych „klasycznych“ wzorów wymownie o cnocie, w którą, okazuje to ich brudne życie — nie wierzą? Czyliż w końcu nie widzimy dookoła nas powstające stowarzyszenia, które podobnie: jak to i poganie czynili, twierdzą, że wystarcza jedynie być uczciwym, oraz, że i bez chrystyanizmu można być szczęśliwym?

Proszę zbadać, od kiedyto poczęło się to straszliwe poniżenie ducha w Europie, nie zapominając, że tutaj wszystko zawisło od wychowania, a niezawodnie z zawartemi oczyma wskażecie, Łaskawi Czytelnicy, na porę wskrzeszenia nauk klasycznych czyli pogańskich w wychowaniu!

Niechaj nam przeciwnicy w celu osłabienia powyższych faktów i wywodów nie nadmieniają, że pogańskie klasyczne dzieła doznały moralnej puryfikacyi, lub expurgacyi, a tem mniej i to w celu sprzeciwienia się żądanym przez nas reformom w wychowaniu, że one mogą przecie doznać jeszcze staranniejszej korekty i expurgacyi! Czcze i płonne to argu-

menty! Korekcye i expurgacye, zatuszowania w tym względzie usunęły w najlepszym razie „grube“ niemoralności, namacalne błędy, albo mogą je usunąć; nie zmienią zaś one niczego w samym duchu pogaństwa, którym, rzecz to nie unikniona, tchną [1]) dzieła autorów pogańskich. A właśnie przecie tutaj tkwi niebezpieczeństwo! To właśnie pojmowali doskonale wszyscy Ojcowie Kościoła, całe wieki średnie.

Kiedy tacy Hieronimowie, Augustynowie, Grzegorze potępiali tak energicznie klasyczne pogaństwo w wychowaniu, wykazując z taką wymową jego niezmierne niebezpieczeństwo: czyż sądzicie na seryo, że oni to czynili z obawy, iżby świat chrześcijański przypadkiem nie powrócił do kultu J o w i s z a, W e n e r y i M e r k u r e g o? Nie: bożyszcza olimpijskie runęły z swych ołtarzy, aby się już na nie nie wydostać nigdy. Pogaństwo było w swej postaci materyalnej martwe, całkowicie martwe, ale jeszcze żyło w swym duchu. A ten duch utrzymał się w pogańskich książkach, które w rękach młodzieży wywierają tak potężny wpływ, iż tego ducha wlewają w serca chrześcijańskich pokoleń, a przez nie w społeczeństwo. Tutaj tkwiło zawsze niebezpieczeństwo, tutaj ono jeszcze tkwi i zawsze tkwić będzie.

Trzeba się mieć na baczności: nadejdzie czas, jeśli on już nie nadszedł, w którym będzie już niemożliwem zażegnanie tego niebezpieczeństwa. Pewien uczony mąż XVI wieku wypowiedział w obliczu Europy: „O d k w e s t y i i z a s t ó s o w a n i a p o g a ń s t w a, l u b c h r y s t y a n i z m u w w y c h o w a n i u, z a w i s ł o z b a w i e n i e ś w i a t a“.

* * *

Poszanowanie powagi rodzicielskiej, nierozwiązalność małżeństwa, prawo ojcowskie wobec swych dzieci, to są podwaliny rodziny chrześcijańskiej: stowarzyszenie zaś domowe utrzymuje się równie jak polityczna społeczność poszanowaniem praw, które je tworzą. Stąd płynęły w ciągu 15 stuleci: głęboka cześć ludów chrześcijańskich względem nauk rodzicielskich, zwyczajów i obyczajów, stąd religijna piecza w przekazywaniu dzieciom, jako najkosztowniejszą cząstkę ich dziedzi-

[1]) Niegdyś mówiono: „Graecum est, non legitur. To greczyzna; tej się nie czyta!“ Dzisiaj, zdaje się, odmienne panuje zapatrywanie: „Graecum est — non reprehenditur. — To niesmaczne, sromotne — ale to — greczyzna!“ (Przyp. aut.).

ctwa, świętej wiary przodków. Tak działały wszystkie rodziny historyczne, tak działały wszystkie rodziny wielkie, które jaśnieją w dziejach świata.

To prawo zachowawcze jest tak naturalne, owszem śmiemy powiedzieć: żywiołowe, że je narody pogańskie doskonale znały i z osobliwszą wiernością wypełniały. Rzym, na który się zwykle tak chętnie powołujemy, wzkazywał zawsze na swe piorwotne zwyczaje i obyczaje. Zasady ich ojców były zasadami świętemi, a cześć, jaką Rzym otaczał imiona swych nauczycieli, dochodziła prawie do ubóstwiania. W tem głębokiem i powszechnem poszanowaniu związki familijne znajdowały swe zachowanie. A te nienaruszalne związki familijne, przez które Rzym zawsze jednakim pozostawał, stały się źródłem jego potęgi, tajemnicą jego trwałości i podstawą jego nieograniczonej władzy.

A czemże jest obecnie klasyczne pogaństwo? Jest ono szkołą pogardy wobec rodzicielskiej powagi. Zniewagi, oszczerstwa, wyszydzania i urągania, jakich doznają nasi przodkowie, stanowią ujemną stronę nauk klasycznych w wychowaniu młodzieży.

Wyniósłszy aż pod obłoki w pochwałach ludzi, zakłady, stowarzyszenia pogan, rzucają się zwolennicy nauk klasycznych na naszych biednych przodków, na ich zwyczaje, zakłady, na wszystko, co oni byli uczynili, tak, że ich dzieci, potomkowie niemal się wstydzą takiego pochodzenia. Niczego nie uszanują: pierwotni chrześcijanie są ich zdaniem, fanatykami i głupcami stulecia, w których oni żyli, są wiekami barbarzyństwa, wieki średnie epoką żelazną ludzkiego rodu, czasem powszechnego letargu. Wiarę naszych przodków nazywają bydlęcą głupotą, ich religijne praktyki zabobonem, ich cnoty fanatyzmem, ich papieży chciwymi sławy, ich królów tyranami, ich książąt złodziejami, ich panów rabusiami, ich prawa kodeksem okrucieństwa i głupoty, ich dzieje legendami, nauki dziecińśtwem, piśmiennictwo barbarzyństwem, ich umiejętności niewiadomością, sztuki parafiańszczyzną, ich stan socyalny niewolą i nędzą. Słowem: od przeszło 300 lat przedstawiają nam naszych przodków jako rabusiów, żyjących z łupu i oddających się wszelkim występkom, jako dzikich, zaledwo umiejących chodzić na własnych nogach, jako kretynów, których dziecinna i naiwna wiara zdolną była uważać za prawdę, że „osły latają w powietrzu również jak jaskółki [1]).

[1]) Tego wyrażenia drastycznego użył umyślnie dla dosadności ujemnego sądu w swej książce ks. Gaume.

Rycerskie cnoty naszych przodków, ich wzniosłe poświęcenia nazywamy fanatyzmem, przesadą, a na jakąż nazwę zasługuje nasze samolubstwo? Oni budowali kościoły i klasztory, my budujemy teatra i więzienia. Gdy oni dopuścili się zbrodni, prosili publicznie Boga i ludzi o przebaczenie; my czynem zbrodniczym raczej się chełpimy. Zagrożeni lub dotknięci chłostą niebios, oni się kajali, my zaś bluźnimy. Gdy ich nawiedziło jakie wielkie zmartwienie, natenczas oni się modlili, dzisiaj ludzie życie sobie odbierają. Mówimy o ich nieświadomości, a gdzież nasza oświata? Czy to w owych czasach rzekomej ciemnoty, albo też w naszych wiekach oświeconych napotykamy najrzetelniejsze pojęcie prawa, powagi, własności, dobrego i złego?

Wychwalamy piękność naszych nowych języków, oni je utworzyli. My odkryliśmy parę i elektryczność, oni kompas, sztukę drukarską i wynaleźli proch strzelniczy. Opiewamy naszych wielkich mężów w dziedzinie wojowania, umiejętności i sztuk, a one czyli istotnie były tak barbarzyńskiemi, jak śmiemy mówić, owe wieki, które wydały w sztuce wojennej takiego Karola Wielkiego, Duguesclina, Gotfryda z Buillonu, w umiejętnościach politycznych Alcuina, św. Grzegorza VII., św. Ludwika i Sugera, w teologii św. Bonawenturę i św. Tomasza, w wymowie św. Bernarda, św. Antoniego z Padwy, św. Wincentego z Ferary, w filozofii św. Anzelma, w poezyi i literaturze Dantego i Petrarkę, w naukach przyrodniczych Gerberta i Bakona? Czy to byli dzicy i bracia dzikich, którzy strzałki naszych kościołów wyrzucili aż pod obłoki, wszystkie ich części tak misternie wyrzeźbili, ich dzwony i galerye zaludnili tłumem figur, dzieje doczesności i wieczności ażurowemi głoskami wypisali na ścianach i oszkleniu swych przepysznych budynków?

Zresztą nie powinniśmy się łudzić; ta pogarda, te bluźnierstwa dosięgają powagę — wyższą! Zaprzysiężony wróg chrześcijaństwa okazuje klasyczne pogaństwo względem wieków średnich taką pogardę i nieprzyjaźń, ponieważ one były epoką wiary. Ożywczy duch Kościoła przenikał do głębi instytucye, obyczaje i zwyczaje, sztuki i mowę tej epoki: dyskredytując je, dyskredytuję się widocznie Kościół; obwiniając je o zabobon, nieświadomość i barbarzyństwo, zwala się te wszystkie obwinienia na Kościół. To jest ostatnie słowo nierozsądnej i zawziętej walki, jaką trzy ostatnie wieki wiodą przeciw wiekom średnim. Powinni byli to zrozumieć zresztą dobrze myślący ludzie, którzy się okazywali fanatycznymi wielbi-

cielami klasycznego piśmiennictwa pogańskiego, objawiając przy tem namiętną pogardę względem naszej epoki prawdziwej wiary.

Ponieważ nowatorowie XV stulecia przedewszystkiem owe wieki obwiniali o największą ciemnotę, obrzydły zabobon i moralne zwyrodnienie, więc też upatrywali przyczynę w tem, że Kościół uronił był część pierwotnej prawowierności tak, że jego naukę należało oczyścić ze szpecących go przymieszek i naleciałości, że należało zarzucić wszelkie tradycye i powrócić do czystego słowa Bożego. Odważono się też na ten krok i nastała — reformacya!

W towarzystwie apostołów klasycznego pogaństwa w wychowaniu pojawili się: Luter, Kalwin, Teodor Beza; po sekciarzach i nowatorach nadeszli. Bayle, Argens, Bolingbroke, Diderot, Russeau i Wolter z całą filozoficzną armią. Wszyscy oni brali broń przeciw religii z tej samej zbrojowni, z której ją brali heretycy XVI stulecia, mając na celu już nie zaszczepianie pojedynczych prawd, ale zniweczenie całej budowy chrześcijaństwa. Dogmaty, tajemnice, przykazania, powagi, zwyczaje nazywają oni jednogłośnie wytworem niewiadomości i głupoty barbarzyńskich stuleci. Im samym, jak ich uczniom pozostała tylko jedyna rzecz do podziwiania — pogaństwo. W istocie widzimy, jak niebawem osławieni mężowie roku 93 postanowili odnowić świat za pomocą idei Sparty, Aten i Rzymu.

Podniesienie pogaństwa, a pogardzanie wiarą naszych ojców, przodków, stało się od przeszło 300 lat nieuniknioną podstawą publicznego wychowania w Europie. Nie jestże to zbrodniczem naruszeniem zachowawczego prawa familijnego: „Czcij ojca i matkę twoją, abyś długo żył, aby się ci dobrze powodziło na ziemi?“ Ale to jeszcze nie wszystko. Chrystyanizm zapewnił rodzinie jedność i nierozwiązalność związków małżeńskich, jako też święte prawa rodzicielskie względem dzieci. Przez pięćset lat czerpała Europa życie z tego świętego zdroju moralnego, któremu ludy chrześcijańskie zawdzięczają swą obyczajność i siłę. Daleką od nich i godną pogardy była myśl o rozwodzie i wielożeństwie; toż nie ma nic tak rzadkiego, jak napotkanie przykładów naruszenia tej familijnej zasady w dziejach Europy, nic nie obudza większej niechęci i głębszego wstrętu jak ono. Z drugiej strony nie przestrzegają ówcześni ludzie niczego z większą wiernością jak słusznej i uświęconej rodzicielskiej powagi.

A skądże to poszło, że od początku XVI stulecia znowu się pojawiają wielożeństwo i rozwody, upoważnione przez głowy reformacyi? Skąd to pochodzi, że one aż do naszych dni znachodzą nieprzerwany szereg obrońców pośród uczonych trzech ostatnich stuleci w Niemczech, Anglii i Francyi? Skąd pochodzi, że po krótkotrwałych protestacyach, rozwody stały się obecnie w połowie Europy prawem państwowem? Skąd to pochodzi, że ludzie dzisiaj prawami rodziców względem swych dzieci pogardzają i poniekąd depcą nogami? Skądże nowsze społeczeństwo zaczerpnęło pojęcia, sprzeciwiające się zupełnie wszelkim pojęciom chrystyanizmu? Jak wytłómaczyć ową łatwość, z jaką te pojęcia przeszły w ustawy i publiczne obyczaje?

Mój Boże: wszak ta smutna wrzekomo tajemnica sama się przez się tłómaczy! Stało się to drogą wpojonych nauk i wychowania młodzieży w duchu klasycznego pogaństwa. Wzorem do naśladowania, zakonodawcą i nauczycielem w tym zawodzie był Lykurg i jego ustawy... Filozofowie, prawodawcy i uczeni nowszych czasów, wierni w szkołach odebranym wrażeniom zachwalali, współzawodnicząc z sobą w swych dziełach ustawodawcze zasady rodziny lacedomońskiej; toż nie zaniedbano niczego, iżby te zasady familii pogańskiej w zastósowaniu przenieść na rodzinę chrześcijańską!

Namiętny wielbiciel Lykurga chwali go wymownie, powiadając, że „ten mąż nieśmiertelny umiał cnotę w życie wprowadzić środkami, które się jej zdają sprzeciwiać“. Bolingbroke, Potter, Helvetius, Collins, Tindal, Russeau, wszyscy encyklopedyści prawią jakby wyrocznia ustawodawstwa, wszyscy wychwalają kolejno idee Lykurga i nalegają na ich urzeczywistnienie dla uszczęśliwienia ludzkiego rodzaju. Ich wywody są doprawdy! pouczające.

Lykurg nie uznawał religijnego charakteru małżeństwa; oni odrzucają Sakrament, który je uszlachetnia, gdy je uświęca.

Lykurg nie przyjmuje nierozwiązalności związku małżeńskiego; oni wielbili „dobrodziejstwa“ rozwodu i wcielili go w ustawodawstwo.

Lykurg godzi się na konkubinat; a oni twierdzili, że go ganić nie należy, o ileby był stałym.

Lykurg usprawiedliwia wolne cielesne spółkowanie; oni utrzymywali, że wielożeństwo jest tylko sprawą rachunkową.

Lykurg odrzuca celibat i panieństwo (dziewiczość); oni je okrzyczeli i ośmieszyli.

Lykurg odmawia powagi rodzicom; oni to czynią w wyższym stopniu, twierdząc: „Żaden śmiertelnik nie otrzymuje od przyrody prawa rozkazywania drugiemu; ale my je sami udzielamy temu, od którego spodziewamy się dobrobytu... Przez ojca wykonywane rządy w rodzinie, zasadzają się jedynie na korzyściach, jakie on jej zamyśla udzielić“.

Będąc uczniami pogańskich filozofów i prawników, wielbicielami pisarzy sensualistycznych uważają nowatorowie europejscy, u schyłku ostatniego stulecia za obowiązek sumienia i rozsądku przeszczepianie idei pogańskich na współczesną rodzinę. Doszedłszy do władzy przystępują oni do dzieła, pozbawiają związki małżeńskie wszelkiego religijnego charakteru, postanawiają rozwód, wyznaczają niezamężnym matkom publiczne nagrody, znoszą wszelkie śluby, wypędzają wszystkich zakonników i zakonnice z ich klasztorów, uszczuplają w swym kodeksie karnym, ile tylko mogą, władzę rodzicielską i wznawiają przez Raóaut Saint Etienne'a dosłownie zasadę Lykurga, że dziecko należy pierwej do państwa, aniżeli do rodziny. „Miejmy odwagę“, — oświadczył niegdyś znany polityk Thiers — „powiedzieć stuleciu, które z siebie jest dumnem, że starożytność jest rzeczą najpiękniejszą na świecie!“ My tego bynajmniej nie widzimy, wcale się z tym sądem nie godzimy. Pomimo najgruntowniejszego studyowania społecznego urządzenia Sparty i Rzymu widzimy w nich jedynie: gwałty, niesprawiedliwości, oszustwa, nieustanne wojny, niewolę, ohydę, politykę fałszywą, fałszywą moralność i fałszywą religię. Co wy podziwiacie, tem my brzydzimy się i pogardzamy.

Chrześcijaństwo jest zakonem powszechnej miłości bliźniego. Uczy ono: Szanować drugich i dla nich się poświęcać. Zdobywszy świat miłością, będąc zwierzchnikiem nieograniczonym wychowania w ciągu tysiąca lat, przeniknęło ono swym duchem narody Europy, żywiąc ożywczym nektarem swych nauk młode pokolenia i, o ile to dozwala ludzka słabość, przekształciło społeczeństwo według swego wizerunku. Dlatego w ciągu całych wieków średnich powszechna wojna pośród chrześcijańskich narodów, była prawie zupełnie nieznaną, dlatego wojny domowe były więcej ograniczone i mniej okrutne, aniżeli w starożytności; dlatego istniał patryotyzm katolicki, który uważał religię za powszechną ojczyznę, a wszystkich chrześcijan na świecie za braci, za których należało składać złoto i krew przelewać, pod jakiemkolwiekby podniebiem cierpieli. Dlatego też ujawniał się duch rycer-

ski, który bezinteresowną moc szlachetnych i silnych istotom słabym przekazywał do rozporządzenia.

Stąd wypłynęła nieograniczona, przez wyższą powagę religii w należytych granicach utrzymywana władza, która w ciągu tego czasokresu wydała więcej przykładów świątobliwości na tronach, t. j. bohaterskiego poświęcenia dla dobra narodów, aniżeli ich widziano we wszystkich czasokresach historyi. Dlatego istniały gminne i prowincyonalne wolności, nieporównanie wyższe nad wszystko, co dotychczas znano w tym kierunku, aniżeli wszystko, co później widziano. Dlatego istniała wreszcie nieograniczona wolność Kościoła, który był matką i dozorczynią wszelkiej wolności, Kościoła, którego nikt nie myślał uważać za obcego przybysza, albo współzawodnika, który natomiast miłowano, szanowano i wszelkim sposobem w jego społecznej działalności wspierano.

Dzisiaj napotykamy przeciwieństwo tego obrazu.

Charakterystycznem znamieniem Europy od 300 lat jest... nienawiść. „Nienawiść Boga": chcianoby nietylko Jego religią usunąć, ale także Jego imię. „Nienawiść księży": oczerniają ich, szydzą z nich, uciska się ich w wypełnianiu ich czynności, i już ogłaszają niektórzy ludzie na nich wyrok banicyi. „Nienawidź królów, szlachtę, istniejące urządzenia, nienawidź wszelką powagę, nienawidź prawa, które tłumieniem namiętności utrzymują pokój, nienawidź zwierzchności, które utrzymują prawa w mocy!" Nienawiść w państwie, nienawiść w rodzinie, ogólna nienawiść objawia się rokoszem, mordami i szalejącą żądzą burzenia — niszczenia.

W czysto politycznym kierunku głównemi objawami tej w wiekach wiary nieznanej nienawiści są:

Prawie nieustające zewnętrzne i domowe wojny, dzikie zamiłowanie wolności, gniewem pałający patryotyzm, brutalny despotyzm, przechodzący naprzemian z rąk pospólstwa w ręce jednostek.

Pogardy godny serwilizm.

Widoczne dążenie do komunizmu i zagłady.

I cóż zrodziło ten stan anormalny, co go utrzymuje? Skąd się wzięły te pojęcia, tak przeciwne pojęciom chrześcijańskim? Jak one wniknęły w społeczeństwo? Dlaczegoż się one pojawiają od 300 lat w Europie, z której w ciągu tysiąca lat były wyrugowane? Na to odpowiada nam publiczne wychowanie młodzieży słowami: „Od 300 lat jestem pogańskie: zamiast miłować, uczę ja nienawidzieć, według własnego wizerunku

ukształtowałem mych wychowanków, którzy to, co otrzymali, przekazali swym potomkom, i tą drogą stało się społeczeństwo pogańskiem, pośród którego panowała nienawiść".

Atoli wojny zewnętrzne stanowią tylko część widowiska, jakie nastręcza młodzieży klasyczne pogaństwo; obraz uzupełniają zapasy wewnętrzne. Cóż to widzieliśmy w wewnętrznych dziejach Sparty, Aten, a szczególnie Rzymu, z którym nas jak najstaranniej zapoznawano? Oto nieustanne spory klas niższych społeczeństwa z wyższemi, przerażenie królów przezwanych „tyranami", zakorzenioną nienawiść plebejuszów względem patrycyuszów i odwrotnie, zawichrzenia na forum, ustąpienie na „Górę świętą", ustawy rolne, pośrednictwo trybunów i popularność spiskowców, ciągle odnawiające się waśnie, fakcye, gotowe do starcia się wręcz każdej chwili, krew obywateli, plamiącą ulice i place miast i ostracyzm, skazujący zwycięzców na wygnanie, jeśli nie zawsze byli równie szczęśliwymi!

Piękne to zaiste! przykłady, wzniosłe „wzory", kosztowny zasiew dla młodocianej duszy... I jakież są polityczne następstwa tego rodzaju wychowania? Z jednej strony całkowite sfałszowanie prawdziwego pojęcia władzy, z drugiej zachwalanie i wykonywanie teoryj przewrotowych.

Wieki chrześcijańskie głosiły za św. Pawłem, że wszelka władza pochodzi od Boga. Powiedzcie zaś dzisiaj Europie, wychowanej w duchu pogaństwa, że wszelka władza pochodzi od Boga i od Jezusa Chrystusa, Króla nad królami, Pana nad panami daną bywa jako lenne, sprzeciwcie się pogańskiemu dogmatowi wszechwładzy narodu, a zobaczycie ilu się znajdzie pośród wrzekomych mędrców, którzyby wam inaczej odpowiedzieli, aniżeli uśmiechem politowania! Czytajcie, proszę, przemowy uroczyste, mowy poniekąd narodowe, tronowe, wywody mowców parlamentarnych i uważajcie: czy tam na każdej stronicy nie napotkacie nazwy nacyi, nazwy narodu, nazwy kraju, które w Europie uchodzą za najwyższą podstawę prawa i władzy! Skądże to tak częste powstawanie tych nazw zamiast nazwy Boga, jeśli nie stąd, że powaga, którą one wyrażają, jest wszechmożną, jedynie możną i uchodzi sama jedna za źródło władzy w dzisiejszym świecie politycznym?

Rezultatem wzmiankowanego wyżej wychowania młodzieży, jest zachwalanie i wychowywanie teoryj przewrotowych pogaństwa. Czytajcie, proszę, prawników, znawców prawa, filozofów nowszej Europy, wychowanych w duchu „pięknych" klasyków starożytności, a cóż tam napotkacie? Powiedzą oni wam, że społeczeństwo jest umową, że rząd, jeśli ma być pra-

womocnym, musi być ugruntowanym na dobrowolnej zgodzie poddanych, gdyż inaczej jest tylko gwałtem, przywłaszczeniem, rabunkiem! Powiedzą wam, że wszelka władza pochodzi od narodu, który jest jedyną władzą, nie potrzebującą usprawiedliwiać swych postępków, a nauka, że książęta posiadają swą moc od Boga, jest przez duchowieństwo wymyśloną zasadą, stawiającą królów tylko dlatego nad naród, aby w imieniu Boga módz samym królom rozkazywać, a więc tylko żelazne okowy utrzymują cały naród pod nogami jedynego człowieka. Powiedzą wam wreszcie, że naród jest jedynym nieograniczonym władcą, posiadającym prawo sądzenia królów, których mandat zależy od jego woli i, jeżeli go oni naruszą, traci znaczenie — a insurekcya jest jedną z najświętszych powinności.

Ten naród podniósł też rokosz od jednego krańca Europy do drugiego i odbył sąd nad „tyranami“ i igrał koronami jakby dziecko piłką... I widzieliśmy: jak on w krótszym czasie od lat 50 pokruszył pięćdziesiąt dwa trony, a ich krwią zbryzgane szczątki w błoto uliczne pozawlekał. Pojawiły się też pieśni tryumfalne dla morderców królewskich, jakie niegdyś krążyły „na cześć“ Scewoli, Brutusa, Makrona i t. d.; a społeczeństwo, ciągle tam i sam potrącane pośród stronnictw, przechodzi naprzewian od najsurowszej tyranii do najsromotniejszego serwilizmu! Najdziksi Brutusowie r. 93 stają się najpodlejszymi sługami szczęśliwego żołnierza, który ich szwy ozłaca.. Ot, tak daleko zaszliśmy! Ponieważ świat wskutek swego przewrotnego wychowania powrócił do pogaństwa, więc musiał także koniecznie wejść w społeczne stosunki pogaństwa: w antagonizm, anarchią, despotyzm, serwilizm, w niestałość, rewolucye.

Wypada nam wyjaśnić jeszcze jeden owoc drzewa pogańskiego wychowania.

„Prawdziwy postęp“ — powiada pewien słynny hiszpański publicysta [1]) — „polega na poddaniu pierwiastku ludzkiego, niweczącego wolność pod pierwiastek Boży, który ją uszlachetnia. Społeczeństwo obrało odmienną drogę, oświadczając, że panowanie wiary ustało; a ponieważ zaprowadziło panowanie rozsądku i woli ludzkiej, przeto uczyniło złe względne, wyjątkowe i przypadkowe złem — absolutnem, powszechnem i koniecznem“. Ten czasokres szybkiego cofania się wstecz rozpoczęła Francya przywróceniem pogaństwa w naukach,

---

[1]) Donoso Cortes.

które kolejno sprowadziło za sobą przywrócenie pogaństwa w filozofii, religii i polityce. Obecnie znajduje się swiat w przededniu ostatniej z tych restauracyi t. j. przywrócenia pogaństwa socyalistycznego.

O, tak: zagrażający nam socyalizm jest owocem nauk klasycznych w wychowaniu! Uczą go autorowie, których słowa zachwalane bywają pokoleniom Europy jako wyrocznia, a ich teorye społeczne jako rzecz „najdoskonalsza i najpiękniejsza, jaka na świecie istnieje“.

Socyalizm narusza familią i własność w ich podstawach i stara się zniweczeniem wolności indywidualnej na korzyść państwa urzeczywistnić najrozglejszy, najohydniejszy i najokropniejszy despotyzm, jaki kiedykolwiek świat uciskał.

Pogaństwo, które nam w szkołach każą podziwiać, uczy i praktykuje socyalizm w familii i komunizm, które się u progu przyszłości wznoszą jakby złowrogie olbrzymy — potwory przed oczyma bolesnem przeczuciem zatrwożonego świata. Lykurg i Plato prawodawcy wojowniczych narodów uznają, że rodzina mogłaby wojskowe poświęcenie osłabić. Sami to czujemy, gdyż zabraniamy żenić się naszym żołnierzom. Mimoto nie powinna się ludzkość pomniejszać. I jakżeż ten problemat rozwiązać? Jakże go rozwiązali Plato w teoryi, a Lykurg w praktyce? Przez wolne cielesne spółkowanie. I dlategoto przyuczają nas wymawiania nazwisk Platona i Lykurga tylko z „czcią“ bałwochwalczą!

Sam Rzym, godny wychowanek Grecyi uznawał konkubinat i rozwody. Co większa: w starożytnej rodzinie pochłania socyalizm wolność kobiety i dziecka na korzyść ojca podobnie, jak same państwo pochłania wolność ojca na swą własną korzyść.

Brutus Saint Just nazywa wyraźnie pracę — hańbą, a komunizm jedynym środkiem do nadania ludziom obyczajów. „Ręka ludzka“ (mówi on) „jest stworzona jedynie do uprawy roli i noszenia broni; toż rzemiosło nie nadaje się prawdziwemu obywatelowi. Gdyby były obyczaje, poszłoby wszystko dobrze; potrzeba też urządzeń do ich oczyszczenia“.

Lecz dosyć tych wywodów! Naszkicowany obraz społeczeństwa wystarcza do przekonania każdego: jak strasznemi i zgubnemi są skutki nauk klasycznych w wychowaniu. Im to zawdzięcza społeczeństwo Europy, iż się stoczyło na krawędź ziejącej otchłani, której głębi i niebezpieczenstw nikt ani zmierzyć, ani ocenić należycie nie zdoła.

DWIE KOLEŻANKI.

(Obrazek z czasów rewolucyi francuskiej.)

I.

Ostatnie słowa hymnu *Salve Regina*, jak i ostatnie dźwięki organu przebrzmiały pod gotyckiem sklepieniem opactwa Saint Pous w Awignonie; zakonnice w długich płaszczach, w czarnych welonach poważnie opuszczały swe stalle, nowicyuszki szły za niemi, a młode pensyonarki pod dozorem mistrzyń spokojnie w szeregach postępowały; lecz skoro z kościoła wyszły, swawolna ich gromada jak stado ptasząt na wielkim trawniku się rozpierzchła. Dwie tylko dzieweczki, wziąwszy się pod ręce, poszły do altanki, bzem i jaśminem osadzonej, i ze łzami w oczach na ławeczce usiadły. Starsza zaledwie ośmnaście lat licząca, w czarnej sukni, rysy miała regularne, twarzyczkę białą i różową, piękne ciemne włosy pod batystową przepaską ukryte; a wdzięk godności i dziewiczej skromności w układzie jej rozlany, wszystkie serca ku niej pociągał.

Cecylia de Combeault wysokiego rodu, pobożna i nie majętna, przeznaczoną była do zakonu, i miała rychło przyjąć sukienkę świętego Bernarda w opactwie Saint-Pous. Towarzyszka jej wesoła i ożywiona, kwitnąca urodą, gustownie ubrana, Aurelia Roger, ze smutkiem, ściskając rękę swej przyjaciółki, rzecze do niej:

— Więc musimy się rozstać! Ja wychodzę a ty zostajesz!...

— Żebyś wiedziała jak mi boleśnie nie widzieć tego kochanego klasztoru, tych zakonnic, które tak dobre dla mnie były, naszych kochanych towarzyszek, a szczególnie ciebie, moja droga Cecylio, wyrazić tego nie umiem... Zdaje mi się, że serce pęknie...

— My też ciebie bardzo żałujemy; jednakże, droga Aurelio, wracasz do domu, będziesz z twoim stryjaszkiem, który cię tak kocha, będziesz mogła usługiwać mu, pocieszać go...

— To prawda; a przytem dom stryjaszka otwarty jest... ale tem gorzej... smutno mi będzie pomyśleć, że ja żyję w zabawach, a ty, moja Cecylio, sama jedna tutaj!

— Kto się Panu Bogu oddaje, nie jest ani smutnym ani opuszczonym, odpowie dzieweczka.

— Doprawdy? Ty nie żałujesz świata? Ty byś nie chciała wrócić na świat?

— Ta świątynia jest moim domem, i nie chcę znać innego, odpowie Cecylia z uśmiechem. Nie mam więcej krewnych oprócz mojej ciotki, opatki i tak jak ona z radością serca na służbę Panu Bogu się oddaję. To najlepsza cząstka moja na wieki.

— Pocieszasz mię Cecylio, więc ty masz powołanie, jak mówią zakonnice... Ja nie jestem tak doskonała jak ty, dodała Aurelia figlarnie chwiejąc główką, ja chcę trochę świata obaczyć... ale i was bardzo kocham!... O! żebym się mogła podzielić między klasztorem a domem stryja mego!...

— Będziesz nas często odwiedzać; tyś dziecko klasztorne, będziesz mi opowiadać o twojem życiu, o twoich czynnościach i zabawach... a potem pójdziesz za mąż, synowica i dziedziczka najbogatszego przemysłowca w Awignonie, będziesz wielką panią, bogatą, dobroczynną, szanowaną...

— A ty — Cecylio — będziesz jak twoja ciotka opatką, będziesz nosić pastorał i pierścień z wielką powagą i godnością.

Obie dzieweczki parsknęły ze śmiechu...

— Jakie zamki na lodzie! — zawołała Aurelia.

— Oddajmy naszą przyszłość w ręce Opatrzności! dodała Cecylia.

— Nie zapomnisz o mnie, Cecylio? — rzecze Aurelia po chwili milczenia.

— Bądź pewna, że cię nie zapomnę; ale oto — na dowód, że myślę o tobie, ofiaruję ci tę robótkę — na pamiątkę przyjaźni naszej...

I Cecylia oddała swej towarzyszce woreczek gustownie haftowany, na którym ich cyfry w girlandzie polnych kwiatów razem się splatają.

— Jakaś ty dobra! zawołała Aurelia, ty o wszystkiem pamiętasz; a ja nie mam nic, cobym ci dać mogła... Ach, mam i wyjmując bogatą broszkę, którą wstążka jej była przypięta, podała ją przyjaciółce, mówiąc:

— Moja matka tę broszkę nosiła, zachowaj ją na pamiątkę odemnie.

— Zapominasz, że mam rychło ślubować ubóstwo — rzecze z uśmiechem Cecylia — twoja broszka zbyt kosztowna do zapinania welonu ubogiej zakonnicy.

— Więc nic ci dać nie mogę? rzecze smutno Aurelia.

Czyż mi tu pamiątki potrzebne? Wszędzie gdzie tylko pójdę do kościoła, do ogrodu, wszędzie będę myśleć o tobie.

— A ja na świecie nigdy cię nie zapomnę; bo nigdzie nie znajdę tak dobrej jak ty przyjaciółki.

Wtem siostra konwerska nadeszła:

— Stryj twój — panienko — czeka na cię; a Wielebna matka Agata zaleca, żebyś się spieszyła.

— Więc trzeba się nam pożegnać!... módl się za mnie Cecylio!... rzecze Aurelia, rzucając się w objęcia przyjaciółki... jutro cię nie obaczę!

— Odwagi! — kochana Aurelio — bądź szczęśliwą i o nas pamiętaj!

— Zawsze! — zawsze! — Bądź zdrowa, droga Cecylio!

II.

Dwa lata upłynęły. Było to w 1792 roku podczas terroryzmu, kiedy tryumfująca bezbożność ogniem i mieczem Francyą pustoszyła. Echo wypadków paryzkich dosięgło aż do klasztornego zacisza. Śluby zakonne były zniesione, bramy opactwa Saint-Pous przez władzę wykonawczą otworzone... ale niewidzialny, a potężny ślub klauzury, lepiej niżeli zamki i rygle zatrzymał w świętym przybytku oblubienice Chrystusowe. Jednakże wielkie zamieszanie panowało w tem dotąd spokojnem miejscu; i zakonnice trwożliwym krokiem, rzucając około siebie niespokojne spojrzenia, zgromadziły się do sali, gdzie na nie przełożona oczekiwała.

Wielebna matka Gertruda de Combeault, ciotka Cecylii, odznaczała się w tych burzliwych czasach taką powagą i godnością, jak kiedy przewodniczyła wielkim zgromadzeniom zakonu, albo gdy wymierzała sprawiedliwość licznym poddanym swojego opactwa. Rysy jej twarzy wyrażały jednostajną słodycz i dobroć; ale zapał męczenników w oczach jej płonął.

— Córki moje — rzecze do zakonnic — bezbożna władza ośmieliła się targnąć na śluby, samemu Bogu uczynione; otworzyła drzwi klasztorne, — te drzwi, któreśmy same, dla uniknienia zepsucia świata, za sobą zamknęły... Ale dzięki Bogu! żadna się z was nie cofnęła, — żadna nie zrzuciła słodkiego jarzma Chrystusowego, dla korzystania z haniebnej wolności, jaką wam świat ofiaruje. Patrzę około siebie, i znajduję was wszystkie, siostry moje, towarzyszki, drogie dziatki moje, czyste oblubienice Syna Bożego! Nieprawdaż, że nigdy się nie zaprzecie dobrowolnych ślubów które was do ołtarzów Pańskich wiążą? Odpowiedźcie mi... Będziecie-li wierne ślubom waszym aż do krwi wylania, jeżeli tego zajdzie potrzeba?

— Będziemy! będziemy! odpowiedziały z zapałem wszystkie zakonnice.

— Dobrze siostry moje — przyjmuję wasze obietnice; ani w czasie ani w wieczności, córki świętego Bernarda rozdzielone nie będą. Ale są pomiędzy wami takie, które jeszcze ślubów nie uczyniły. Siostro Otylio, siostro Hildergardo, siostro Angelo zbliżcie się tu.

Trzy młode dziewice w białych welonach nowicyuszek stanęły przed opatką.

— Moje dzieci, wyście jeszcze wolne; i ten klasztor który nie może wam dać opieki, nie ma prawa was zatrzymać. Rodziny Wasze chcą was zabrać; wracajcie do nich i pamiętajcie na świecie, żeście liberyą Chrystusową nosiły. Krewni wasi czekają na was u furty; — żegnam was córki moje.

Dzieweczki uklękły, przyjęły błogosławieńsiwo opatki, i uścisnąwszy wszystkie siostry, płacząc wyszły.

— A siostra Cecylia? rzekła nieśmiało jedna z zakonnic.

— Cecylia jest ostatnia ze swej rodziny, nie ma oprócz mnie innych krewnych, ona los mój podzielać będzie odpowiedziała ze smutkiem opatka. — Wróbel znajduje sobie domek i synogarlica gniazdo, gdzieby położyła pisklęta swoje...

— Mojem schronieniem są ołtarze Twoje, Panie Zastępów, Królu mój i Boże mój!... odezwie się świeży i czysty głos, kończący wiersz psalmu.

Opatka odwróciła się, Cecylia stała wsparta na jej fotelu.

— Tak, — biedna gołąbko — tyś obrała sobie tutaj schronienie: ale jastrząb chce cię ztąd wygnać!... Niech się dzieje wola Boża!...

W tejże chwili siostra kołowa, blada i przerażona, wbiega do sali:

— Wielebna matko — rzecze — komisarz, który kazał bramy klasztoru otworzyć, wszedł na dziedziniec z ogromną tłuszczą strasznych, uzbrojonych ludzi. Co Wasza Wielebność czynić rozkaże?

— Niech całe zgromadzenie idzie do kościoła, pójdźcie za mną — córki moje— nasze miejsce w świątyni Pańskiej.

Opatka uklękła przed ołtarzem, zakonnice zajęły w stalach zwyczajne swe miejsce.

Słychać było po schodach, na korytarzach kroki gromady ludzi, nareszcie drzwi świątyni z trzaskiem się otwierają i wchodzi wysokiego wzrostu mężczyzna z brutalną miną, a za nim ogromna tłuszczą obdartusów z kijami, z toporami, między którymi widać było mnóstwo tych strasznych ohydnych twarzy, co podczas zaburzeń krajowych jakby straszne poczwary z pod ziemi wyłażą... Godny wódz tej wrzaśliwej bandy, zbliża się do opatki, która stojąc spokojnie na stopniach ołtarza, zapytuje:

— Czego chcecie — wchodząc tak zuchwale do domu Bożego?

— Chcemy kluczów od skarbca; oddaj nam klucze a będziesz wolna z twemi mniszkami; W przeciwnym razie...

— Skarb mi powierzony jest własnością zgromadzenia; ja nie mam prawa niem rozporządzać; oddam go w ręce moich duchownych przełożonych, od których go wzięłam: a teraz rozkazuję wam, żebyście natychmiast z kościoła wyszli.

— Patrz-no jaka harda — zawołał komisarz, ale zaraz będziesz inaczej śpiewać... Klucze od skarbca — jeszcze raz mówię — albo rozpuszczę moją psiarnię po klasztorze!

— Niech mię Bóg broni, żebym naczynia święte w ręce wasze oddała!...

— Nie trzeba tak wiele gadać — rzecze pewien człowiek z bandy — tam w cyborium jest puszka, kosztująca dziesięć tysięcy talarów jak jeden grosz... to w całym kraju wiadomo.

Opatka spojrzała na oskarżyciela: był to jeden z dzierżawców klasztornych, któremu ona nie raz w latach nieurodzaju całą należność darowała.

— Nieprzyjaciele człowieka są domownicy jego — rzekła z westchnieniem.

Komisarz spojrzał z chciwością na ołtarz; w tej chwili promienie słońca oblały go światłością, a złote lamy, tabernakulum pokrywające, tęczowym blaskiem jaśniały... Oczy bandyty zaiskrzyły się chciwością... wyrwał siekierę z rąk swego towarzysza i podskoczył do ołtarza krzycząc:

— Dostaniemy skarbu bez kluczów!

Zakonnice przerażone upadły na kolana, głośne łkania modlitwy mieszały się z wyciem zajadłej tłuszczy; opatka nieustraszona stała na stopniach ołtarza; święta zgroza zarumieniła zawsze blade jej lica: oczy jej w górę wzniesione zdawały się w Niebie szukać obrony.

Stój bezbożniku! zawołała do komisarza — póki ja żyję nikt Świętego-Świętych nie dotknie!

— A więc umieraj!

Siekiera błysnęła w powietrzu i opatka z Saint-Pous śmiertelnym ciosem rażona na ziemię upadła. Cecylia z jękiem rzuciła się do niej. Umierająca ściągnęła ku niej rękę:

— Módlmy się za nich! — szepnęła z cicha... — i mężna, i spokojna, jak zawsze, Bogu ducha oddała.

Szczęśliwe oczy, które na zawsze zamknięte, spustoszenia miejsca świętego nie oglądały! Szczęśliwe uszy, które bluźnierstwa bezbożnych nie słyszały! Szczęśliwa jej dusza, w morzu

niebiańskich pociech zanurzona, nie widziała zniszczenia tego wszystkiego, co serce jej czciło i kochało na ziemi!... W jednej chwili kościół zrabowano, zakonnice przestraszone uciekły, jedna Cecylia niechybnej śmierci czekając, przy zwłokach ciotki została, a jej modlitwa wśród tego zamieszania jak wielka pochodnia, której burza zagasić nie zdolna, ku niebu się wznosiła. Postrzegł ją komisarz i kazał iść z sobą.

— Iść z wami? a dokąd?

— Dokąd? Do więzienia... a potem...

— Cecylia zaraz powstała, i tłumiąc boleść w sercu, poszła odważnie i spokojnie wśród tej wrzaskliwej bandy, jak rzymskie męczennice pośród liktorów... Wyszła na ulicę, napełnioną tłumami wzburzonego motłochu... Jej zakonny ubiór, biały welon, różaniec u Boku wiszący, znaki wtenczas wyśmiane w nieszczęśliwej Francyi, wszystko to uwagę wichrzycieli na nią ściągało. Gdy przyszli na miejsce, gdzio było więzienie, wrzaski się podwoiły: To zakonnica z Saint-Pous — wołano — to arystokratka, to nieprzyjaciel narodu. Niech umrze! Zabij ją! zabij! — Śmierć zdawała się niechybną... gdy w tem tłumy się rozstępują... młody mężczyzna w mundurze wojskowym silnym gestem odtrąca morderców wołając do nich:

— Co wam złego zrobiła ta młoda panienka? Nie wstyd że wam rzucać się na bezbronne dziecię?

— To nieprzyjaciel narodu — niech zginie!

— Nieprzyjaciel narodu! młoda dzieweczka, która nigdy z klasztoru nie wyszła! — i zwracając się do Cecylii:

— Zaufaj mi, pani — rzecze — a nie bój się; pierwej umrę, niż pozwolę ci co złego uczynić. — I wziąwszy ją za rękę prowadził dalej. Widząc stanowczą śmiałość młodzieńca, tłumy się rozstąpiły — ale nie rozpierzchły... ucieczka była niepodobną... Tak przyszli do więzienia.

— Pani! rzecze nieznajomy — kiedy nie można inaczej, więzienie jest schronieniem, jak się drzwi zamkną, na kilka dni będziesz spokojną; a ja tymczasem będę się starał o twe uwolnienie. Imię twe Pani?

— Cecylia de Combeault. A pana, żebym go przed Bogiem wymienić mogła?

— Estewe Gorzaz. Wejdź Pani, i nie bój się.

Drzwi były otwarte; Cecylia za komisarzem przeszła długi gotycki korytarz i znalazła się w małej izdebce, którą jej na więzienie przeznaczono.

III.

Nigdy sen nie był tak zmiennym i tak strasznym, jak krwawa scena, która odebrawszy Cecylii jedyną jej opiekunkę, wygnała ją ze świętego zacisza, gdzie jej młodość ubiegła, i z pewnością rychłej śmierci do okropnego więzienia ją wrzuciła. Cecylia upadła na kolana.

— Boże, Stwórco nieba i ziemi! Ojcze nasz najłaskawszy! zawołała ze łzami. Ty zasmucasz, Ty pocieszasz; w Twojem ręku są losy człowieka... Oddaję się w ręce Opatrzności Twojej... Niech się nademną spełni najświętsza wola Twoja.

Wspieraj mię — o Jezu! prowadź mię... daj mi łaskę i męstwo, abym krzyż mój za Tobą dźwigając, z chórami Aniełów wielbiła Cię na wieki.

Pokrzepiona tą modlitwą uczuła się spokojniejszą. Spojrzała około siebie: ubogie łóżko i dębowy stołek były jedynym sprzętem tej ciasnej izdebki, małem wysokiem okienkiem oświeconej. Na nagich ścianach nie było żadnego obrazu; ale Cecylia miała przy sobie hebanowy różaniec i krucyfiks, a w kieszeni znalazła na pociechę swoją małą książeczkę o Naśladowaniu Chrystusa Pana. Przeczytała z niej jeden rozdział, jakby list z nieba do niej pisany; pomodliła się jeszcze i spokojnie zasnęła, nie tykając wieczerzy, którą jej żona dozorcy więziennego przyniosła.

Nazajutrz wstała bardzo rano, modliła się — jak zwykle z prawdziwą gorącością ducha, dzień spokojnie jej upłynął. Oddalona od wrzawy ulicznej, w grubych murach swej celki, Cecylia mogłaby mniemać, że jest od całego świata zapomnianą, gdyby jej trzy razy na dzień lichego pożywienia nie przynoszono.

Trzeciego dnia żona dozorcy więzienia, która grzeczną dla niej była, zachęciła ją, żeby się trochę po wolnem powietrzu przeszła. Cecylia, choć niechętnie, była posłuszną. Przyszła na wielki smutny dziedziniec, gdzie się wszyscy więźniowie przechadzali. Mężczyźni czytali gazety, kobiety, siedząc na ławeczkach, smutno rozmawiały ze sobą. Wszyscy z uszanowaniem przywitali Cecylię, która usiadła przy jednej wiekowej damie, bardzo zbolałej i płaczącej... gdy z nagła usłyszała imię swe wymówione...

— Cecylio! ciebież to tu znajduję? zawołał dobrze znajomy głos.

Aurelia była przy niej, ściskała ją w swych objęciach płacząc i śmiejąc się z radości.

— Aurelio! Kochana Aurelio! rzecze nareszcie Cecylia, tyś tu? mój Boże! co za okropne czasy! spotykamy się w więzieniu! Gdzież jest twój stryjaszek?

— Zamordowali go! rzecze Aurelia — na to wspomnienie łzami się zalewając. Miał on nieprzyjaciół, a raczej miał zazdrosnych z powodu swej wielkiej majętności... a że on nie podzielał opinii radykałów, więc go zabili. O mój stryju! mój kochany stryju! Ileż on ucierpiał!... Jam mu w niczem pomódz nie mogła... a żem bardzo płakała, jeden z zabójców tu mię przyprowadził. Czegoż w tem więzieniu nie ucierpiałam! We dnie drżałam jak listek — wszystkiegom się bała... w nocy, okropna scena śmierci stryja stała mi ciągle w oczach... Mój Boże! takem pierwej była szczęśliwa! A ty — droga Cecylio — a twoja kochana ciotka? niestety! nie śmiem się nawet o nią pytać...

— Umarła! — odpowie Cecylia, wznosząc oczy w niebo; jak świątobliwie żyła, tak świątobliwie umarła... Obie straciłyśmy opiekunów naszej młodości; Ojciec nasz niebieski zastąpi ich.

Cecylia opowiedziała przyjaciółce bolesne wypadki swoje, lecz gdy wymówiła imię Estewa Gorzaz, nagły rumieniec okrył bladą twarz Aurelii. Estew Gorzaz! powtórzyła... znaliśmy go dobrze, jest to syn notaryusza, bardzo zacny i wykształcony człowiek, często bywał w naszym domu; ale że w tych czasach zaburzenia obrał zawód wojskowy, mój stryj nie chciał go więcej widzieć.

Gdy minęła godzina przechadzki, Cecylia poszła do stróża więzienia i otrzymała pozwolenie przyjąć Aurelią do swej celki. To połączenie osładzało im niewolę. Podróżując razem na statku blizkim rozbicia, tuliły się jedna do drugiej, i im więcej cierpiały, tem więcej się kochały. Wzajemnie też do cierpliwości się zachęcały. Cecylia pobożnością, poddaniem się woli Bożej, wzmacniała duszę swej przyjaciółki; Aurelia promyczkiem swej dawnej wesołości czasami uśmiech na usta swej towarzyszki sprowadzała. Ale te chwile rzadkie były: zbyt ciężki to był krzyż dla biednej Aurelii, do pociech i pieszczot świata przyzwyczajonej. Okropna scena śmierci stryja, której była obecną, głębokie w jej umyśle zostawiła wrażenie, ztąd po krótkich chwilach wesołości, zwykle następowały śmiertelne trwogi, smutek, zwątpienie i rozpacz... Wtenczas płakała w objęciach Cecylii, pragnęła życia, pociech — szczęścia, które się jej wymykały...

W tych chwilach rozpaczy, Cecylia czytała w głębi duszy swej przyjaciółki, i usposobienie jej serca dobrze zrozumiała... sama spokojna, Bogu oddana, mężniej nieszczęście swoje znosiła. Cecylia nie bała się śmierci, bo ciągle nicość życia rozważała;

bo dla miłości Bożej wyrzekła się wszystkich ziemskich przyjemności, a wszystkie gorzkości przyjęła.

IV.

Dziesięć dni upłynęło. Pewnego poranku, gdy Aurelia jeszcze spała, strażniczka z cicha zawołała na Cecylią:

— Czekają na cię u kraty — panienko — rzecze do niej — młodzieniec ten ma pozwolenie; nie trzeba go zatrzymywać.

— Jaki młodzieniec?

— Ej! tak, młody wojskowy oficer... Idź; idź, panienko — to pewno dobre nowiny.

Cecylia zeszła do kraty. Młody mężczyzna czekał na nią; poznała w nim Estewa Gorzaz; przywitała go i usiadła.

— Pani — rzecze do niej — chwile są krótkie, pozwól, że szczerze mówić będę. Przyrzekłem wybawić cię z więzienia, i od tej chwili ciągle się starałem o to, alem niczego nie dokazał... odmówili mi! Wiem, że będziesz wezwana przed ich bezbożny trybunał, a to się równa wyrokowi śmierci. Umrzeć! w dwudziestej wiośnie życia! — umrzeć! kiedy jeszcze szczęśliwą być możesz!... I jakaż to śmierć — o Boże!... Panno Cecylio! — dodał — jeden tylko jest sposób uratowania się od śmierci... i na kolanach błagam cię, abyś go przyjęła! Oddaj mi rękę twoją, a w tej chwili wyjdziesz ztąd wolna i swobodna. Daj mi prawo do bronienia cię; chcę cię tylko z katowskich rąk wyrwać, chcę ci życie moje poświęcić i szczęście twoje zapewnić... A jeżeli tak nie chcesz; bądź siostrą moją, dopełnij czczej formalności wobec rządu tylko, potem wyjedziesz za granicę, we Włoszech łatwo otrzymasz uwolnienie od tego kontraktu. Cecylio, zlituj się nad sobą; jam gotów wszystko cierpieć, żebym cię tylko od śmierci wyratował.

Młoda dziewica, głęboko wzruszona, spojrzała na niego i rzekła:

— Wdzięczna jestem Panu za jego dobroć i poświęcenie się dla mnie; niech to Pan Bóg stokrotnie mu wynagrodzi; ale nie mogę przyjąć ofiary pańskiej, nie mogę być wiarołomną Bogu mojemu. Pan nie wiesz, że ja nie należę do siebie; żem ślubami zakonnymi związana.

— Jeszcześ ich nie uczyniła — Cecylio jeszcze wolną jesteś.

— Czyżbyś w chwili niebezpieczeństwa chciał twój sztandar opuścić?

— Pewno że nie?

— Otóż mój sztandar — rzecze anielska dziewica — ukazując swój krucyfiks; chorągiew to Króla Niebieskiego; pod tym

sztandarem przysięgłam żyć i umierać, bom już śluby święte sto razy w sercu mem uczyniła! Od dzieciństwa Panu Bogu się oddałam, do niego należę, i teraz proszę, aby ostatnie dni życia mego przyjąć raczył. Tak, o Panie! — mówiła z zapałem krzyż w górę wznosząc, przyrzekam Ci czystość, posłuszeństwo i ubóstwo; przyjm Ty sam śluby moje, jeżeli ich nie mogę u stóp ołtarzy w ręce kapłanów Twych złożyć.

Estew krzyknął z rozpaczy i drżący wsparł się o kratę.

Cecylia klęczała; oczy jej niebiańskim ogniem płonęły, lica żywym jaśniały rumieńcem... nigdy piękniejszą nie była, jak kiedy dla miłości Chrystusowej młodość i wdzięki swoje na srogą śmierć wydała.

— Cóżeś uczyniła? rzecze Estew z boleścią — czemu tak nienawidzisz życia twego? Cecylio! nieszczęsne dziecię!

— Ja tylko to krótkie i nędzne życie na wieczne a szczęśliwe zamieniam. Ale posłuchaj mię, Estew, a przyjmij ostatnią prośbę moją. Mam siostrę, przyjaciółkę, pozwól, że ją tobie powierzę.

— Gdzie ona jest?

— Tu w więzieniu jak ja, na to samo niebezpieczeństwo narażona... Ona przywiązana do życia, ona pragnie szczęścia. Ach! dałby Bóg, żeby to ona była przedmiotem twego szlachetnego poświęcenia się! życzenia twoje byłyby spełnione. Od pierwszego słowa twego Bóg mię natchnął tą myślą i chciałabym widzieć Aurelią przez ciebie wybawioną i z tobą szczęśliwą...

— Aurelię!

— Tak, Aurelię Roger, towarzyszkę z lat dziecinnych, przyjaciółkę i siostrę moją. Znasz ją — wiesz, ile wdzięków w niej jaśnieje.

— Jam jej nie wybrał... Nic mię to tego nie zmusza...

— A jeżeliby ona chciała cię za towarzysza życia swego wybrać, miałżebyś serce pod miecz katowski ją rzucić? Estew! przyjmij ostatnią prośbę moją! niech mam przy śmierci tę pociechę, żeście oboje szczęśliwi!

Młodzieniec zwyciężony upada na kolana.

— Tyś istny anioł z nieba, Cecylio! — co rozkazujesz, stać się musi... przyjmuję Aurelio!

Cecylia złożyła ręce, a zły radości twarz jej zalały.

— Zaraz ją przyszlę — rzecze — zabieraj ją natychmiast... Bądź dla niej ojcem, opiekunem, bratem! Bądź dobrym dla niej. Żegnam cię, Estew, ostatnia modlitwa maja za was będzie.

Estew jęknął z boleścią... Cecylia pożegnała go — i wyszła

V.

Aurelia z niecierpliwością na swoję przyjaciółkę oczekiwała. Cecylia uścisnęła ją i powiedziała tylko:

Pan Gorzaz czeka na ciebie u kraty; zdaje mi się, że to są dobre nowiny.

Aurelia zarumieniła się — wyjąknąwszy słów kilka... Cecylia uścisnęła ją dla dodania jej odwagi... i strażnik drzwi otwierając krzyknął:

— Pójdź że prędzej — panno — kapitan Gorzaz nie będzie miał cierpliwości długo czekać. On jest w dobrych stosunkach z władzą i ma pozwolenie widzieć się z naszymi więźniami.

Cecylia ścisnęła jeszcze raz na pożegnanie rękę Aurelii... potem drzwi się zamknęły — zgrzyt rygli dał się słyszeć i Cecylia została sama.

Godzina upłynęła; godzina niepewności — oczekiwania, która dla niej wiekiem się zdała... Nareszcie strażniczka wbiegła, wołając:

— Oto już Panna Aurelia wyszła! Kapitan Gorzaz poprowadził ją do swej matki, i mówią, że ją rychło zaślubi... Tak, to ona wolna... ma się rozumieć żona kapitana! Ale jednakże biedaczka — bardzo płakała; mówiła, że chce wrócić do was — Panno Cecylio! że nie chce cię samą zostawić... Pan kapitan mówił: — my ją znajdziemy — my ją wybawimy... a sam — jak na pana młodego — bardzo był smutnym... Och! jaki był blady!...

— Franciszko, — przerwała Cecylia — proszę cię o jedną łaskę: Jeżeli ja tu umrę — rozumiesz mię? zanieś do Aurelii ten krucyfiks, różaniec i książeczkę; zostawię je na stoliku; ona ci będzie wdzięczną i nagrodzi cię. Bądź zdrowa Franciszko! Niech ci Pan Bóg za twoją dobroć dla mnie hojnie wynagrodzi!

Franciszka wzruszona płacząc wyszła.

Cecylia obejrzała się około siebie, jakby żegnając samotną i milczącą celkę; potem rzecze do siebie:

— Wszystko skończone, Aurelia wybawiona... będzie szczęśliwa... mnie pozostaje tylko umrzeć i Pan Bóg mi dopomoże.

Cecylia usiadła: dzielna robotnica, dokonała swej pracy, czekała na zapłatę; i nie długo czekała. Tegoż wieczora, pomimo największego starania Estewa, wezwano ją przed zbrodniczy trybunał. Podejrzana i fanatyczka, wysoko urodzona, zakonnica, wszystko to u tych obłąkahych ludzi oskarżeniem było: wyrok zatem wydano. Przyjęła go spokojnie mężna dziewica, jak wonna

lilia ofiarująca się Chrystusowi na ołtarzu krzyża, — jak Anioł ulatujący do Nieba.. Duchy błogosławione pospieszyły na spotkanie oblubienicy Chrystusowej, która wieńcem dziewictwa i męczeństwa uwieńczona, w światłości chwały króluje.

Jakie było wychowanie synów Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana.

Z przodków króla Jana chlubnie dzieje narodu wspominają dziada jego Marka, wojewodę lubelskiego i ojca Jakóba, krajczego kor., wojewodę bełzkiego, dalej ruskiego, na rok przed zejściem swojem kasztelana krakowskiego. Obydwaj ci mężowie zasłużyli się ojczyźnie. Marek Sobieski z cudów męstwa i wytrwałości w bojach znany, szanowanym był od króla Stefana i Zygmunta III., tak, iż pierwszy rzekł o nim, iż gdyby miał los całego państwa na jeden harc wystawić, tedyby nikogo do tego nie wezwał, jak Marka Sobieskiego; drugi rady jego często używał i na niej polegał.

W ślady ojca wstąpił wcześnie syn Jakób, któremu do ćwiczenia się w sztuce wojennej często porę nastręczało panowanie Zygmunta III. i Władysława IV.; pod ostatniego rządami nietylko niebezpieczeństwo wojen dzielił z monarchą, ale cztery razy (1623, 1626, 1629 i 1632) sterem obrad narodowych, jako marszałek poselski, kierował, czterykroć sterem urzędu sprawiedliwości, jako marszałek trybunału koronnego władał, i w imieniu króla i Rpltej traktat westfalski, jako poseł, podpisał.

W każdem urzędowaniu, tak w kraju, jako i za granicą, przenikły rozsądek, zręczny obrót z cnotliwą rzetelnością jednocząc, szczególniej z gładkiej wymowy słynął, której dowody w mowach publicznych tak na sejmach, jako i przy obchodach weselnych i pogrzebowych, nas doszły. Dwa razy śluby małżeńskie zawarł, pierwszy z Maryą Wiśniowiecką, księcia wojewody ruskiego, Konstantego córką, drugi z Teofilą Daniłowiczowną, z której miał dwóch synów Marka i Jana, króla.

Jak troskliwym był Jakób Sobieski ojcem, tak z wszystkiem tem, co do dobrego wychowania należy, dokładnie obe-

znany, pokazuje się z instrukcyi jego, danej p. Orchowskiemu, z synami do szkół do Krakowa wyjeżdżającemu.

Jest to nauka, dana synom na piśmie, obejmująca to wszystko, na co przy kształceniu się uwagę mieć trzeba. O sposobie myślenia Jakóba Sobieskiego w tej mierze, przekona się łaskawy czytelnik z wyjątków niektórych, jakich mu z rzadkiej tej książeczki [1]) udzielamy.

W części pierwszej, poleciwszy synom nabożeństwo codzienne, odwiedzanie domów Bożych i świątobliwe przyjmowanie Sakramentów św., przechodzi do zdrowia, tak o niem mówiąc:

„To conservatur victus ratione, lubo ja niechciałbym, aby się papinkowato i pieszczenie chowali, i owszem życzę, aby zawczasu żołądek ich przywykał grubym potrawom, których się im, da Bóg, na wojnach zażywać przyda: a mnie to samemu zepsowano żołądek, że mnie z młodu nazbyt, jako to jedynaka, co się ojcu memu nie chwali, nazbyt pieszczenie chowali.

Mają obydwa to, że podlegli są temu, iż im krew często ciecze; przeto trzeba, aby się violenta exercitia strzegli, a mianowicie lecie, a dadzą się też panu Orchowskiemu paciorki doświadczone i od nich samych już, na krwi ustanowienie.

Ad conservandam valetudinem są exercitia corporis bardzo potrzebne, których tak zażywać mają: Lecie hora recreationis i zimie, niech sobie piły grają, albo niech jaką grę wymyślą, coby choć po sieni motum corporis mieli. W święta zaś i w niedziele, niech na rekreacye bieganiem, z łuków strzelaniem, które się im przysposobią na to. Zimie zaś niech sub tecto odprawują exercitium, niech się do dalszych kościołów, lub po obiedzie przechodzą.

Uchowaj Boże choroby na nich, principiis obstandum, zaraz się udać do doktorów co przedniejszych, a nam nie dawać znać, ażeby co periculosum było: uchowaj Boże, bo mogą oni interim ozdrowić, nimby tu wiadomość przyszła, a cobyśmy się nadaremno nafrasowali, toby było w zysku.

We środy, z mięsem dla nich gotować, ani przeciwić się im, co więc tu ryby jadali, które mianowicie młodszemu nie w pomoc idą, bo siła ma flegmy. W piątek jednak, w wigilie niech poszczą, i w sobotę zwykli tu byli suszyć, jeśli tam

[1]) Instrukcya Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego. ojca króla Jana III. dana p. Orchowskiemu, z strony synów z manuskryptu przedrukowana. W Warszawie, 1784, 8.

tož zechcą czynić, i owszem nie bronić im tego, niech się Najświętszej Pannie zawczasu i tą małą rzeczą przysługują.

Ma to Kraków, że frukty ma lepsze, smaczniejsze et in majori Copia, niż tu nasze kraje, na które młodzi osobny swój miewają apetyt; strzedz tego, żeby moderate et non gulose ich zażywali, bo stąd najprędsza do gorączek i biegunek okazya bywa.

O obyczajach tak pisze: Te są kawalerowi każdemu dziwnie potrzebne u nas i wszędzie, i słusznie w naszej Polsce śmieją się z takich, co po łacinie mądry, a po polsku głupi, a ono to oboje być pospołu bardzo dobrze może.

Przestrzegać tego pan Orchowski będzie, aby przystojne bezpieczeństwo mieli między ludźmi, jakie teraz z łaski Bożej mają, i z jakim stąd wyjeżdżają.

Dawno powiedziano nietylko o naukach, ale i o obyczajach: disce domi, qualis esse debeas foris. Doma tedy trzeba przestrzegać, żeby się nie murzali, aby się pięknie kłaniali, żeby się u stołu niezamyślali, skoro się co postrzeże, zaraz napomnieć, i strofować, i żadnej okazyi do tego nie opuścić. A jeżeliby często napomnienia i strofowania niesłuchali, czego o nich nierozumiem, niech mi da znać pan Orchowski, a ja będę wiedział, co z tym rzec: jest pręt do tego, pod którym młodzi rosną.

Jeśliby zaś w gościnie co tak sobie nieobyczajnego postępowali, lub i doma przy ludziach, ażeby tego pan Orchowski postrzegł, zaraz im dać znać, albo przez znaki, albo przez chłopca, że się to niepodoba, i że trzeba inaczej czynić.

Gdy ich na bankiet jaki będą prosić, albo na posiedzenie, kędy białogłowy będą na miejsca poczciwe, i owszem niech idą, niech zdrowi tańcują. Castis omnia casta. Nie chcę ja, żeby po łacinie tylko byli mądremi, ale żeby po polsku też byli grzecznymi: wszak się nie do kapicy tylko i sutanny ćwiczyć się będą, a jeśliby też i do tego stanu, którego z nich Pan Bóg powołał, to im wokacyi Boskiej non impediet.

Kiedy ich gdzie będą lub na wesela, lub na bankiety prosić, lub to panowie, lub poczciwi mieszczanie, lub też panięta i condiscipulowie, niech pan Orchowski tylko przy nich zostanie, a chłopiec jeden, a potem kiedy będą mieli pójść, to po czeladź wszystkę posłać, żeby ich prowadziła do gospody.

Względem miłości braterskiej takie daje przepisy: Tej najbardziej przestrzegać będzie pan Orchowski, żeby się za młodu bracia miłowali, bez zazdrości, bez swarów: Młodszy niech starszego szanuje, a starszy niech młodszego miłuje, jeśli

co bynajmniej pan Orchowski postrzeże, niech ich napomni i zgromi, a jeśli, strzeż Boże, zagęszczałyby się między niemi poswarki, niemiłość, niech mi o tym da znać, bo takim rzeczom, trzeba zawczasu zabiegać.

Konwersacyą, nauki i języki tak zaleca: Przez tę, droga się ściele, strzeż Boże, albo do złego, albo do dobrego, boć nie darmo to powiedziano: cum bono bonus eris, cum perverso perverteris.

Trzeba tedy przestrzegać panu Orchowskiemu, aby z ledajakim nie konwersowali, z chłopiętami cudzemi i z kondyscypułami swemi takiemi, choćby też i panięta byli, coby byli swawolni, pletliwi, nauk nie pilnujący, bo i najlepsza owieczka od parszywej owce, wnet się i niechcący zarazi.

Jako ich wszelkiemi sposobami od pychy odwodzić trzeba, bo niemasz przed Panem Bogiem brzydszego nad to grzechu, i u nas w Polsce brzydzą się takiemi ludźmi i miasto poszanowania w przysłowiu i w pośmiewisku, u drugich bywają: tak zaś z drugiej strony, życzę, aby przy ludzkości i układności przeciwko każdemu animusz swój szlachetny mieli, według urodzenia i fortuny swojej, trzeba, aby stanu, w jakim ich Pan Bóg chciał mieć, dygnitatem przestrzegali, mianowicie kiedy z swemi kondyscypułami z drugiemi paniętami, lub w kościele, lub na inszym miejscu gdzie będą, żeby miejsce swe wiedzieli, i posiadać się nie dawali nigdzie, i prawej ręki sobie brać, jedno wyższym wojewodzicom, niż oni. Teraz nie masz tam w akademii wyższego wojewodzica i senatorskiego syna nad nie, jedno pan wojewodzic Sieradzki, to tego przed się puszczać mają. A że z domem J. M. panów Sieniawskich, taka jest moja miłość ścisła, niech więc kiedy z panem Sieniawskim będą, lubo nie jest wojewodzic, tylko syn chorążego, niech mu Jaś przed sobą rękę i miejsce puszcza wszędzie, ale Maraś nie; niech go więc biorą między sobą w pośrodek, w gospodzie zaś swojej, niech każdemu panięciu i szlachcicowi, który ich nawiedzać będzie, prawą rękę i pierwsze miejsce dadzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą, kiedy ich panięta nawiedzać będą, i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą. W szkołach zaś, tam nie masz primos accubitus według urodzenia, ale według nauk, jak ich tam posadzą, tak niech siedzą.

Plotkom doma żadnym, strzeż Boże! szerzyć się nie dać, i gdzieindziej w żadne się plotki niech nie wdawają, tak dzieci same, jako i czeladź, bo więc w szkołach zagęszczają się te plotki często, stąd zaś zwady bywają, i między ich starszemi,

i między ich czeladzią. Nie dopiero pana Orchowskiego znając stateczność, pewienem tego, że temu będzie zabiegał.

Tego też przestrzegać będzie pan Orchowski, aby się z swemi wyrostkami, których będą mieć trzech in nimiam familiaritatem, w żadne szepty synowie moi nie wdawali, i w żadne sekreta. Aczci nie rozumiem o tych młodzieńcach nic złego, ale przecie djabeł kusi i najlepszych, a też niechaj będzie znać pana od sługi, a sługę od pana.

Rozumiem, że każdy z tych paniąt, co tam są, ci przedniejsi, pan wojewodzic Sieradzki, pan wojewodzic Bracławski Potocki, pan Koniecpolski, kasztelana Sieradzkiego syn, pan Czarnkoski, nawiedzą wprzód syny moje, jako goście: każdemu z tych paniąt, co ich nawiedzać będą, trzeba żeby oddali wizytę.

Z J. M. panem Sieniawskim jeśli będzie w Krakowie jeszcze, aby familiarissime żyli, ponieważ tak blisko stać siebie będą, niechby z sobą do kościołów w święta i niedziele chodzili, i na przechadzki, jeśli będzie J. M. pan Sieniawski w tym korzystował, o czem nie wątpię. Także będą tam ich m. panowie Ostrorogowie synowie naszego JP. podczaszego, i z temi także niech familiarissime żyją, wszak wiedzą w jakiej ja konwersacyi i w jak ścisłej braterskiej przyjaźni żyję z ojcem ich JM. panem podczaszym.

Brata stryjecznego mego rodzonego, Jezuitę, a stryja swego, jeżeli jest jeszcze w Krakowie, niech go przyjechawszy zaraz nawiedzą, i jeśli w Krakowie pod mieszkanie ich i on będzie mieszkał, ile razy u św. Piotra u Jezuitów zdarzy się im być w kościele, niech go w kollegium nawiedzą.

Przyjacioły moje, wielkie ludzie, niechaj wizytują, kiedy się do Krakowa ukażą, jako to: J. M. księdza biskupa krakowskiego, J. M. pana wojewodę krakowskiego, J. M. pana wojewodę sieradzkiego. Z powinnych zaś swoich: ciotkę rodzoną JMość panią Koniecpolską, która więc tam często bywa, ile razy będzie w Krakowie, niech ją nawiedzą; także J. M. pana Wojnickiego, J. M. p. miecznika koronnego, i synów jego, J. M. pana starostę lanckorońskiego i nowomiejskiego, także J. M. księdza referendarza, J. M. księdza sekretarza wielkiego, jeśliby był w Krakowie, temu się niechaj prezentują, niech się zawczasu uczą szanować powinnych starszych.

Ustawicznie tam mieszka J. M. pan Jerzyna podstarości, a teraz już i ziemski pisarz krakowski, i tego potrzebna przyjaźń mieszkającemu w Krakowie dla różnych, strzeż Boże! przypadków; a do tego, że to też jest mój wielki przyjaciel,

poznać się i z tym, i umyślnie go prosić do siebie i podpoić go dobrze.

O nauce daje takie zdanie:

O tej nie trzeba wiele pisać, bo tam po to samo jadą, aby się uczyli, a głupiemi szlachcie starożytnej, w jakiejkolwiek u ojczyzny swej ekspektacyi, szpetnie zgoła być. Nauka wszędzie człowieka zdobi, i na wojnie i u dworu, i doma i w Rzpltej; widzimy to, że ludzie więcej sobie ważą chudego pachołka uczonego, aniżeli pana wielkiego, a błazna, co go sobie palcem więc ukazują.

Co się tknie nauk, w tych o instrukcyę udać się do J. M. księdza Opatoniusza, który jeszcze moim bywał preceptorem, tego o instrukcyę wierną, życzliwą i dostateczną prosić, której wiem, że non denegabit, ja swoją ręką do niego piszę. prosząc go o to, i posyłam mu konewkę srebrną pozłocistą, którą mu synowie niech odemnie oddadzą.

Niech mu jednak p. Rożenkiewicz aperiat mentem meam, iż ja życzę, aby żadnych inszych prywatów przez ten rok nie mając, uczyli się w klasach, a to dla samej emulacyi z drugimi, z którymi się uczyć będą: a emulacya, czegom i sam doświadczył, wielki to bodziec do nauk.

Trzeba, żeby byli in Examine u Imci księdza Opatoniusza; którego bardzo prosić, aby im w tem nie podchlebował; niechaj ich dyryguje do tej classem właśnie, do której rozumie być obu godnych jednej szkoły, niech tak będzie; jeśli też rozumieć będzie aby starszego do wyższej, a młodszego do niższej klasy obrócić, ja judicio jego w tej mierze acquiescam. Po roku, da Bóg, obaczymy progressum ich, i zatym obstalują się i Magistri privati.

A to też summum et praecipuum, i to ma być jako cynozura zabaw ich i nauk, politior literatura, to jest Stilus codzienny Oratorius, Historici, Moralis Philosophia, dyalektyki życzę, aby tylko tak słuchali, żeby im do retoryki pomocna była, także potym i fizykę, aby im czytano, Compendium Jacobi Carpentarii. W logiki, w metaefizyki, aby się nie wdawali, omnino nie chcę, bo te nauki są hominum otiosorum, albo tych, co się do teologii biorą, a ich trzeba ad capessendam Republicam ćwiczyć. Potrzebna im będzie potem i Mathesis, ale o tem szersza się instrukcya da, za ich laty, i za ich progresem tegorocznym w naukach. Teraz ten rok niech mere in classibus strawią, i tego się niech tylko uczą, co uczyć będą in istis clasibus, w których będą.

O to też prosić Jmi księdza Opatoniusza p. Rożenkiewicz

imieniem moim będzie, żeby ich narażano dla bezpieczeństwa i dla acquirendam oratoriam actionem na publicos actus, i na publicas declamationes, tak jednak, żeby sobie nie brali czasu siła tym, drugim naukom ordynaryjnym.

Dowiedzieć się, jeśli w klasach mistrzowie darmo uczący, są salariati od tych, których uczą, czyli też pamięta im tylko ex gratia particulari honoraria dają co rok? i jak wiele? i co za honoraria? trzeba, żeby się o tem wszystkiem dostatecznie dowiedział p. Orchowski, i mnie wcześnie o tem dał znać, aby się też i moi synowie akomodowali zwyczajom tamecznym.

List odemnie będą mieć do p. rektora, którykolwiek będzie na ten czas, a gdy się będą w album akademi wpisywać, parę portugałów od wpisywania dadzą p. rektorowi, które się już na to stąd wezmą. Tegoż też dnia, kiedy się wpiszą, p. rektora prosić do siebie dniem przedtem, i kilku profesorów z nim co przedniejszych, jako to księdza Opatoniusza, księdza Piotrowickiego, księdza Witeliusza, i kogo tam będzie rozumiał mistrz pp. Rozrażewskich, to prosić; owo zgoła na kilku profesorów co przedniejszych, żeby ich było z rektorem, z sześć, z ośm; umyślnie uczynić convivium tego dnia, kiedy się wpisywać będą. Jedno i rektora i tych profesorów trzeba będzie wcześnie prosić, nie tego dnia, kiedy będzie obiad.

Wiem, że kiedy się będą wpisywać, to ich i bedelli nawiedzą, tym trzeba będzie dać, co będzie rozumiał p. mistrz pp. Rozrażewskich, i z nim się tam będzie, i koło tego bankietu, i koło tej ceremonii, kiedy się wpisywać będą, znieść potrzeba p. Orchowskiemu, ba i w inszych rzeczach znosić się z nim confidenter, jako z swoim, i z strony tych honoraria in Classibus. Tego dnia, kiedy się wpisywać będą, Mszy świętej czytanej o Duchu świętym u św. Jacka grobu, słuchać będą.

Jeśli o co, tedy o to jestem sollicitus, aby w językach się ćwiczyli. Co jako rzecz jest potrzebna kawalerom i ludziom zacnym, na dworach monarchów, et in administranda Rep. bawią się, codzienna experentia uczy.

Łacińskiego języka uczyć się będą w szkole, et stilum exercendo, ale do tego trzeba i łacińskiej konweracsyi, bo wszystkich języków najprędzej konwersacya nauczy. Przeto doma u siebie, lub gdy obcych nie będzie (bo tego kapłana, który z nimi będzie jadał, za obcego mieć nie trzeba), przy obiedzie i doma inszych godzin, kiedy gości nie będzie, będą mówić z p. Rożenkiewiczem p. Wydżgi synem, który kilka lat już słuchał retoryki u Jezuitów w Sandomierzu. Pewienem też

tego, że w szkołach, in Classibus ex praescripto samych mistrzów nie będą inaczej mówić jeno po łacinie.

Niemiecki język, jest Polakom bardzo potrzebny, którego, gdyby się w Krakowie nie nauczyli, przeciwko mojej woli i przeciwko mojej intencyi, musiałbym ich dlatego samego do Niemiec posłać, w czemby mi bardzo skonturbowali koncept, który mam o ich, do Bóg, peregrynacyi. Dlategoż proszę bardzo pana Orchowskiego, aby tego pilno dozierał, żeby się serio et ex proffesso uczyli po niemiecku. Gdyż, jako mam wiadomość, niektórzy z Polaków osobliwy progress w tym języku wzięli w Krakowie, jako to znać pan Głębocki: ma tam być jeden człowiek, który uczy ex professo tak po niemiecku, jako i po łacinie, i pod tym słyszę profecit p. Głębocki. O tego, albo jeśliby ten w Krakowie nie był, o drugiego takiego, starać się koniecznie trzeba, i żeby miał pewną swoję na dzień godzinę, albo jeśliby to być mogło, drugą, poranną i poobiednią, żeby czytał im niemczyznę, to jest, żeby w gramatyce ich niemieckiej informował, dawał im także versiones i argumenta, jako w łacinie czynią; i żeby im autora jakiego explanował. A co się zaś tknie praxim po niemiecku, żeby także i przy stole bez gości, i doma u siebie nie mówili inaczej z panem Zdarowskim, jeno po niemiecku, dozierać tego ma pilno p. Orchowski i o takiego się mistrza starać wszystkim sposobem, by też nań nie wiem jaki koszt łożyć, bo niech wie pan Orchowski, że mi jest tak bardzo cordi, aby się tego języka w Krakowie nauczyli. O co i synów ojcowsko proszę i napominam: wszak z łaski Bożej pamięć mają dobrą i chęć do tego, a niech też odemnie wiedzą, że zacnych kawalerów tych wieków nic bardziej zdobi, jak umiejętność różnych języków, przyda się to i w wojsku, na dworach monarchów, przyda się to i do legacyi, które co wiedzieć, jeśli też i oni nie będą mieć na sobie swego czasu. Piękna to rzecz, kiedy oni z kawalerami różnych narodów i różnych dworów mówić będą. Dlatego się obszerniej o tym punkcie pisze, aby smakować im jako najbardziej i ustawicznie wiadomość obcych języków, żeby i tu się w Krakowie po niemiecku pilnie uczyli, i zawczasu smak brali do inszych w peregrinacyi swojej języków, jako to: francuskiego, włoskiego etc.

Turecki język, jeśli komu, tedy nam potrzebny, a zwłaszcza szlachcie, która tu na Rusi mieszka w tem od nich sąsiedztwie, i w tych ustawicznych poselstwach, wojnach i kłótniach, które się z niemi dzieją, że ta ściana nasza ruska od nich jest obtoczona. Życzyłbym z serca, żeby za tą okazyą

tak aliud agendo (jak mówią) od tego Francuzika, przejęli cokolwiek języka, jedno potrzeba, żeby się ten Francuzik po łacinie mówić wprawował, żeby go tym sposobniej, nietylko o wokabuły, ale też i o phrases et verborum coniunctiones pytać mogli. A jeśliby też Francuzik do języka prędzej przywykł polskiego, niż łacińskiego, to go po polsku pytać, alebym wolał, żeby pierwej przywykł językowi łacińskiemu, boby i łacińskiego języka z nim synowie moi tym częstsze exercitium mieli. Rozumiem jednak, aża i łaciński język prędko pojmie, umiejąc po francusku i trochę po włosku, bo te języki bliżej daleko accedunt do łaciny, niż nasz; na tem wszystko zależy, aby p. Orchowski przestrzegał, żeby in conversatione, po turecku ich uczył, posługując im, grając z nimi i biegając: jeślibym postrzegł, żeby synowie moi jakikolwiek w tym języku progres mieli, nie ciężkoby mi koszt ważyć i potem, a zaciągnąć z Carogrodu jakiego lub Greczyna, lub Włocha ad ulteriorem usum i bieglejszego w tym języku, żeby potem i na peregrynacyą jechał do cudzej ziemi z synami moimi, aby non intermittant, exercitium języka tego, czego serdecznie życzę.

To niech pan Orchowski inkulkuje synom moim odemnie, jeśli się chcą nauczyć języków, aby konwersując, nie wstydzili się, co źle rzeką, bo milczeniem żaden się żadnego języka nie nauczy. A też dawno powiedziano: qui nunquam male, nunquam bene.

O stole nawet synów, i ekonomicznem urządzeniu ich pensyi nie zapomniał troskliwy ojciec, gdy pisze:

Jako we wszystkiem, tak i w jedzeniu, nie życzę, aby się synowie moi marnotrawstwa i luxum uczyli, jednak tego chcę, aby przecie według stanu swego, w którym ich Pan Bóg mieć chciał, żyli non sordide, gdyż i tu, u mnie w domu jeść się, chwała Bogu, po ludzku nauczyli. O nowalią, o zwierzynki tam nie trudno, jako to o rozmaite ptaszki, niech to zdrowi jedzą, kiedy będą mieć tego commoditatem.

Bankietniczkami też nie chcę ich mieć, bo tam do szkoły dla nauk jadą; nie chcę jednak, aby jako pustelnicy bez ludzi żyli, i jadali; w święta i w niedziele, i we dni od nauk wolne, chcę, aby nigdy bez jakiego profesora nie jadali, alternatim biorąc to tego, to owego, skoro się z nimi poznają, to raz z mniejszego, drugi z większego Collegium.

Ksiądz Piotrowicki, widzę, to jest człowiek omnium ore et laude celeberrimus, i życzę, aby go sobie familiarissimum uczynili zawczasu, pozyskując afekt jego, że gdy da Bóg ex

classibus wynidą, będą też mieć za jednego swego prywata praeceptora; on jest commensalis Imci Pana Sieniawskiego, kiedy się im trafi Imci Pana Sieniawskiego prosić, a to może być często in tanta familiaritate, to też zawsze brać tego księdza Piotrowickiego, nie wielka rzecz do ordynacyi, przyczynić półmisek drugi i trzeci.

Stryja też swego Jezuitę, a brata mego, jeśli w Krakowie będzie mieszkał, niech w miesiąc któregokolwiek dnia, u siebie z raz mają. Ksiądz Prowincyał Jezuicki teraźniejszy, ks. Rudnicki, a mój dawny i dobry przyjaciel, kiedy się trafi do Krakowa, tam wizytując, tedy umyślnie do niego posłać, prosząc na obiad przez Zdarowskiego, albo p. Rożenkiewicza, a to gwoli memu bratu Jezuicie.

Paniąt tych, którzy tam będą, po razu też prosić do siebie na obiad w święta, albo w niedziele, obrawszy czas wolny od nauk.

Z razu nakupić będzie korzeni na pewny czas, oliwy, octu, co wszystko niech będzie w szkatułce, pod zawiadywaniem i zachowaniem p. Orchowskiego.

Życzę tego, aby gdy ci profesorowie pojedynkiem bywać będą, także i w powszednie dni choć bywać będą, żeby przy stole nie o lada błazeństwie gadano, ale jakie dyskursy do nauk, synom moim pożyteczne, i ad praxim rerum akkomodujące się bywały. Insza przy obcych gościach kiedy będą; ale alias nieradbym, aby ich obiady na lada jakich rozmowach trawić się miały. Dyskursy przy obiadach, ludzi wielkich, stanęły więc za dobrą szkołę zawsze, czego p. Rożenkiewicz niech przestrzega i sam niech będzie powodem okazyi szukać do tego.

Wróżby Edisona.

Jedno z czasopism angielskich, mianowicie *Illustraded Magazine* przyniosło niedawno artykuł pisarza P. Lathrop, poświęcony działalności największego wynalazcy 19 wieku, Edisonowi.

Z tego artykułu dowiadujemy się, że Edison. obok niespożytych zasług, jakie położył dla cywilizowanej ludzkości, ma jeszcze dla niej cały szereg niespodzianek, które staną się jej sukcesem, nie zaraz, lecz dopiero za jakieś... 100 lat!

Wróżby Edisona, zapowiadające owe „rozkoszne niespodzianki“ bardzo się podobają Jankesom, to tylko ich martwi, że urzeczywistnienie tych wróżb ma nastąpić dopiero za sto lat.

Jednak niektórzy z Amerykanów pocieszają się nadzieją, iż nie w tak dalekiej przyszłości sam Edison z pewnością się udobrucha i przyspieszy ziszczenie przynajmniej kilku tych niespodzianek. A najwięcej im chodzi o ułatwienie podróży do którejbądź z gwiazd... co Edison w swych wróżbach bynajmniej nie zalicza do niemożliwości.

Niektóre z tych wróżb, mniej fantastyczne, a polegające na szerszem zastósowaniu wynalazków obecnego wieku, można już sobie teraz w wyobraźni przedstawić.

Według przepowiedni Edisona, po upływie stu lat, nie będzie żadnych a żadnych miast w dzisiejszem pojęciu. Będą natomiast tylko drobne wioski i osady, rozsiane wśród bardzo pięknych krajobrazów, ożywionych balsamicznem powietrzem!

Tu pracować będą wszyscy wedle woli i potrzeby, i wszyscy będą zupełnie zdrowi. No, no, co za rozkosz! Raj istotny na ziemi!

Jakkolwiek Edison nie tłómaczy, w jaki to mniej więcej sposób nauka zapewni dla całej kuli ziemskiej „balsamiczne powietrze“ i usunie wszelką chorobę a nawet jej obawę, to jednak Jankesi, nie pytając się nawet Edisona o bliższe wytłómaczenie tej zagadki, sami ją sobie rozwiązują. W krainie humbugu, wszak wszystko możliwe.

A więc dowcipni Amerykanie twierdzą, że za sto lat zaprowadzone będą sztuczne „rozpylacze“ samych tylko balsamów, tamujących wszelkie wybryki aury. By zaś uwolnić ludzkość od najlżejszych nawet... katarów, na to znajdzie już sposób „chemia przyszłości!!“

Mniej fantastyczną wróżbą i możliwie prawdopodobną, jest twierdzenie Edisona, że książki i przedstawienia teatralne dostarczane będą wprost do domów — drogą urzędową. Zamiast książek rozsyłane będą płytki, lub walec do fonografów, a te podawać będą głos samego autora.

W redakcyach dzienników wszystko się też zmieni, bo wszelkie wiadomości podawane będą przez redakcyę abonentom wprost przez ulepszony telefon łącznie z fonografem.

Zwolennicy koncertów, odczytów, przedstawień teatralnych i tym podobnych rozrywek, nie będą potrzebowali wychodzić z domów i gnieść się po salach pełnych wyziewów. Będą bowiem takie przyrządy, łączące domy ze salami zabaw, że za pomocą nich można będzie w domu wszystko słyszeć i widzieć, co się tam w sali zabaw dzieje,

Do szybkiego przewożenia ludzi z miejsca na miejsce służyć będą pociągi elektryczne i okręty powietrzne. W przeciągu jakichś 8 godzin można będzie odwiedzić nawet... mieszkańców Marsa. Ta podróż szczególnie się Amerykanom podoba i proszą Edisona, by ów wynalazek przyspieszył, a oni się już zgodzą i na dłuższą niż ośmio godzinną jazdę.

Dalej opowiada Edison, że przy takim stanie rzeczy nie będzie już wojska, a wódki i wogóle napojów wyskokowych, nikt pić nie będzie. Ludzkość przyszedłszy do rozumu, takiego nabierze wstrętu do alkoholizmu, że podawać go będą tylko przestępcom jako największy stopień kary.

Z tem, co prawda, nie wszyscy się zgadzają, a zwłaszcza ci, dla których alkohol nie jest wcale wstrętną rzeczą, i twierdzą, że pod tym względem Edison... przeholował.

Wreszcie wielki wynalazca zapowiada zupełnie inny sposób odżywiania się ludzkości, twierdząc, że chemia wynajdzie potrawy bardziej przypadające smakoszom do gustu, biednych zwierzątek nikt już jadać nie będzie, nie będą też one służyły do dźwigania ciężarów, i będą jako człowiek, szczęśliwe.

Widzimy więc, że sędziwemu wynalazcy nie zbywa wcale na bujnej fantazyi. Zapewne, że i obecne już wynalazki przy szerszem zastosowaniu wiele zmienią na ziemi, nawet przed upływem 100 lat, lecz bardzo jest wątpliwem, czy one zdołają zapewnić człowiekowi „całkowicie szczęśliwy“ pobyt na ziemi.

Marzenia takie chyba zawsze... pozostaną marzeniami.

Katolicyzm w pamiętnikach Bismarka.

Żelazny kanclerz był nietylko mistrzem w polityce, ale był także znakomitym stylistą, o czem świadczą jego pamiętniki, które spisywał, usunięty wbrew swej woli w stan spoczynku.

Z wyjściem tych pamiętników oświadczyła prawie cała prasa, że w nich niema nic nowego, że co ważniejsze, ogłosili już dawniej Busch, Hahn a nawet sam Bismark.

Ale publicyści muszą pracować szybko, więc pobieżnie, i nic dziwnego, że w pamiętnikach Bismarka uszło ich uwagi nie jedno, o czem ani biografowie żelaznego kanclerza ani on sam pierwej nie pisali; szczególnie zaś w sprawach polityki kościelnej. Znane zdanie biskupa Kettelera, że każda kwestya polityczna wiąże się nierozerwalnie z religią, znajduje w pamiętnikach Bismarka potwierdzenie. W każdej prawie omawianej przez pamiętnik sprawie

czysto politycznej natury, jest mowa o katolicyźmie, księżach, Jezuitach, wolnomularzach itp. Ponieważ jednak z drugiej strony pamiętniki Bismarka nie zawierają takich szczegółów, o których wiemy z jego dawniejszych wynurzeń albo od jego powierników, przeto pamiętnik ten nie może być uważany jako wyraźne źródło historyczne. Oto przykład:

Groźny redaktor Kreutz-Zeitung p. v. Nathasius-Ludom pisząc o powodach walki kulturnej mówi, że sam Bismark oświadczył, iż czuje się od Boga posłanym do „szerzenia ewangelii“ tj. luteranizmu. Po bitwie sedańskiej uważał za stosowne przystąpić do wykonania tej uwagi. „Jeżeli opanujemy katolicyzm; osłabną tem samem romańskie narody“.

Ale o tem wszystkiem w pamiętnikach niema wzmianki, co też nie trudno pojąć. Wiemy bowiem, że rezultat walki kulturnej smutny był dla Bismarka i że nie tylko nie opanował katolicyzmu, ale nawet ten tak potężnie protegowany protestantyzm nie pozwolił mu się panować; przeciwnie gmach protestantyzmu wznoszony tak troskliwie przez lat 300 zaczął się rysować od góry i dołu — od góry szarpany przez teorye racyonalistycznych profesorów, od dołu wstrząsany przez socyalną demokracyę. A tymczasem katolicyzm wyszedłszy z walki zwycięsko, stał się tem silniejszą moralną potęgą. Po rzuconych w przystępie buty słowach: „do Canossy nie pójdziemy“ — nic dziwnego że Bismark genezę walki kulturnej w pamiętnikach pomija milczeniem, choć przyznać mu trzeba, że wobec parlamentu miał odwagę przyznać się do popełnionego błędu.

Ale choć pod tym względem w pamiętniku jest pewna luka, to z drugiej strony rzucają one na całą sprawę nowe światło, a mianowicie przy końcu rozdziału traktującego o walce kulturnej pisze Bismark, że nie wiemy, aby modus vivendi zawarty z Rzymem w r. 1886/7 był trwały, gdyż albo może jaki wojowniczy następca Leona XIII. zburzy sam to dzieło pokoju, albo tak partya centrum jak i Polacy z nienawiści do protestantyzmu wywołać mogą nową walkę kulturną, zresztą walka między królami a księżmi jest stara jak świat.

Z tym paradoksem łączy Bismark także argument, którego nie miał może odwagi za życia wypowiedzieć, a który charakteryzuje jego pojęcie o istocie katolicyzmu i który zdaje się głównym był motywem walki kulturnej. Jako ostatni powód dlaczego pokój zawarty w r. 1886/7 nie ma być trwały — przytacza Bismark, szerzenie przez katolickie duchowieństwo zabobonów wśród ludu. Zdawałoby się, że Bismark uważa tu jako powinność państwa zwalczanie „zabobonów“ i konieczność złamania pierwej czy później tego modus vivendi przez państwo; — ale nie, Bismark i tu w Ko-

ściele katolickim widzi burzyciela pokoju; w tym zabobonie leży właśnie pokusa dla Kościoła, aby nową walkę z państwem inscenizować. Jako dowód na poparcie twierdzenia o „zabobonach“ katolickich przytacza Bismark okoliczność, że w częstych swych wycieczkach do Kissingen zauważył nawet u oświeceńszych chłopów wiarę, że ksiądz odmawiając absolucyi w chwili śmierci, skazuje na piekło grzesznika, że przeto i w polityce musi być katolik tego samego zapatrywania, co i ksiądz; w polskich dzielnicach jeszcze gorzej pod tym względem, bo nieoświeconemu chłopu ksiądz wpaja przekonanie, że luter a niemiec to jedno pojęcie — tak jak katolik a Polak.

Z pamiętników wypływa jasno, że katolicyzm a zabobon — to jedno, natomiast protestantyzm to światło. Naturalnie, że „zabobonem“ zakażone być mają tylko niższe klasy społeczeństwa katolickiego, czy jednak książe Bismark rozróżniał i w protestantyzmie tę podwójną religię, inną dla siebie a inną dla swej służby luterskiej — nie wiemy. A jednak z przebiegu walki kulturnej mógł poznać Bismark, że katolicki Kościół ma tylko jedną naukę tak dla maluczkich jak i wielkich i że to, co on nazywa zabobonem, stanowi wiarę tak dla książąt jak i chłopów. To co książe Bismark o chłopach z Kissingen opowiada, dowodzi tylko, że jego lutersko-teologiczna wiedza nie sięgała tak daleko, aby pojąć wiarę bawarskiego chłopa, i nie sięgała tak daleko, aby wiedzieć, że mocy prawa „wiązania i rozwiązania“ danego przez Chrystusa Apostołom i ich następcom, to, co ks. Bismark zabobonem nazywa, a w tym wypadku wezwania kapłana do umierającego, jest prawem Boskiem, a nie wymysłem wojowniczego Papieża lub Biskupa. Tej nieznajomości przepisów Kościoła katolickiego możemy przypisać słowa kanclerza, że ksiądz może grzesznika posłać wprost do nieba lub do piekła, bo żaden chłop który tylko trochę katechizmu się uczył w taką nie wierzyłby bajkę, gdyż wie, że sąd należy tylko do Pana Boga.

Obecność zaś kapłana przy łożu umierającego — absolucya dana mu w imię Boga i opatrzenie umierającego Św. Sakramentami jest tylko pomostem, po którym dąży człowiek do swojego celu — do Boga. Takim pomostem jest: Sakrament Chrztu świętego i wierzymy, że dziecko ochrzczone, jeśli umrze, także do nieba, przez kapłana udzielającego Chrztu św. posłane zostało. A przecież i Luter pozostawił Chrzest jako Sakrament a nawet w pierwszych początkach swej apostazyi uznawał sakramentalny charakter spowiedzi, względnie pokuty.

Okazuje się z tego, że ks. Bismark pojęcia konfesyjne, wszczepione mu w młodości przechował do końca życia. A chociaż wy-

chowany w świetle protestantyzmu hołdował zabobonom w większym stopniu jak ci, którym zabobon imputuje i tak: w trzynastu nie usiadł nigdy do stołu, w piątki nie rozpoczynał żadnej sprawy, a dzień bitwy pod Jena i Hochkirch uważał za dni feralne. Nie jestże to zabobon?

Jakich środków zaś używał do zwalczania katolickiego zabobonu, wiadomo, nie cofnął się nawet przed związkiem z zecerem drukarskim, który mu zdradzał autorów manuskryptów biskupich. W końcu musiał ks. Bismark uznać, że nie oceniał należycie potęgi moralnej Kościoła katolickiego i za przykładem Henryka IV. poszedł do Canossy — ale przyznając się do porażki nie mógł przenieść na sobie, aby swemu zwycięzkiemu przeciwnikowi nie rzucić w oczy „zabobonem“.

Książe Bismark nie rozumiał katolicyzmu, czy wyznawali go książęta i ministrowie, czy chłopi; prawie wszystko, co mówi o katolikach, mówi z uprzedzeniem protestanta, patrzy jedynie przez protestanckie okulary, które zaciemniają jego pod innym względem tak światły umysł, jeżeli tylko chodzi o sprawy katolicyzmu.

Tajnemu radcy dr. Krätzigowi nie mógł nigdy darować, że jest katolikiem, twierdząc, że on jest urzędnikiem Papieża a nie cesarza; nie mógł pojąć tego, że co cesarskie cesarzowi, a co Boskie Bogu.

Lektora królowej Augusty nie mógł ścierpieć dlatego tylko że był katolikiem i nazywał go szpiegiem francuskim, i wreszcie za to, że był korespondentem najwięcej legitymistycznej „Gazette de France“ — wyrzucił go z zajmowanej posady. A zresztą czyż za złe mu można było brać jego patryotyzm, kiedy był francuzem a stał w służbie cesarzowej Augusty jeszcze w czasie, kiedy o wojnie francusko-pruskiej nikt nie myślał?

Podejrzenia rzucone przez Bismarka na cesarzową Augustę świadczą o braku rycerskości; również nie cieszyła się względami żelaznego kanclerza żona cesarza Fryderyka. Obie te cesarzowe wiedziały dobrze, że Bismark chce dla swej rodziny stworzyć dziedziczność kanclerstwa, starały się temu przeszkodzić, ztąd ta nieprzyjaźń. Okoliczność, że cesarzowa Augusta otaczała się przeważnie katolikami, gniewała coraz więcej Bismarka, pchała go do intryg przeciw tej dostojnej pani.

W ogóle w każdym wierszu pamiętnika przebija się niechęć a nawet nienawiść do katolicyzmu.

Na pochwałę zaś Bismarka powiedzieć można, że starał oponować wpływowi masonów; a nawet pracował usilnie nad tem, aby Wilhelma I. wyzwolić z pod wpływu wolnomularstwa i wy-

raźnie pisze, że dworskie intrygi wolnomularzy zmuszały go do ciągłej walki i przyprawiły go o nerwowość.

Papież Pius IX. nazwał zaś Bismarka nowym Atyllą, bo nie tylko prowadził on krwawe wojny, ale stokroć straszniejszą wojnę kulturną.

Lecz jak sto lat przedtem Fryderyk II. chcąc zaszczepić w Prusach wolteryanizm, przyczynił się tylko do wzrostu katolicyzmu, tak i Bismarka usiłowania zgnębienia lub zdegenerowania, lub choćby upaństwowienia katolicyzmu, wydały owoc wręcz przeciwny, pomogły katolicyzmowi do okazania całej swej potęgi, która przetrwać zdolna burze nawet sroższe jak bismarkowskie prześladowania.

ROZMAITOŚCI.

Wywar fasoli ma tę własność, że z każdej tkaniny, bez szkody dla koloru, wywabia wszelkie plamy. Dobrze wysuszone ziarna białej fasoli należy ugotować, ale bez soli. Gdy fasola jest już na miękko ugotowana, zlewa się wodę, ostudza się i nasyca się nią materyał, do czyszczenia przeznaczony, lub też poprostu miejsca splamione, które się następnie lekko w wodzie pierze. Mydła do tego prania nie używa się. Wszelkie plamy atramentowe, jeżeli nie są zbyt stare, lub jeżeli atrament nie zawiera zbyt gryzących własności, plamy tłuste, plamy z czerwonego wina i t. p., znikają zarowno z białych jak i z kolorowych tkanin zapomocą tego środka. Tak jedwabne, jak wełniane i bawełniane tkaniny, czarne lub kolorowe, jeżeli są prane według tego przepisu w lekko ogrzanym wywarze białej fasoli, odzyskują zupełną świeżość Zwyczajnie do jednego funta fasoli używa się cztery litry wody. Po wypraniu należy materyał wypłukać w letniej wodzie, wyżąć i wysuszyć.

Sądy nieznane są Eskimosom. Nie posiadają ani policyi i magistratury, nie słyszeli o adwokatach i prokuratorach. Nie idzie jednak zatem, aby wśród Eskimosów nie było sprzeczek. I owszem; lecz załatwiają je pomiędzy sobą, znajdując, że kłótnia sama przez się jest rzeczą tak przykrą, że niepotrzeba tej przykrości zwiększać, wydatkami.

Gdy Eskimos poróżni się z drugim, układa na niego wiersze satyryczne i śpiewa je z odpowiednią mimiką wobec zgromadzonego plemienia. Strona przeciwna odpowiada w ten sam sposób; proces wygrywa ten, kto zdoła rozśmieszyć słuchaczy. Obaj zapaśnicy wychodzą z tego turnieju wyszydzeni, częstokroć podrapani, lecz przegrywający ma przynajmniej tę pociechę, że został pokonany darmo, a zwycięzca — że sobie tylko, nie zaś adwokatowi zwycięstwo zawdzięcza.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.